

965



WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO.
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.
Tom dwudziesty ósmy.



Z ŻYCIA AWANTURNIKA.

OBRAZKI WSPÓŁCZESNE

PRZEZ

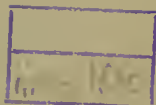
J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM I

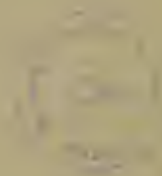
WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

—
1884



Дозволено Цензурою.
Варшава, 11 Января 1884 года.



2007-

1703 J 223

Najcudniejszy był wiosenny poranek, tak cudny. że nawet w mieście pomiędzy murami czuć było wiosnę i młodą dnia godzinę. Drzewa, wygnące. stojące za wysokimi murami ogrodów i tęskniące za powietrzem i słońcem. tego dnia wyglądały zielono. deszcz wczorajszy z kurzu je obmył, rosa zwilżyła. słońce nakarmiło... resztki bzów kwitły i pachniały. W miasteczku cicho było jeszcze i spokojnie. W niektórych kościołach łagodnie ciche odzywały się dzwonki. ulicami przesuwali się ludzie, których rano budzi wiek lub troska. Większa część okiennic była pozamykanych i sztorów pospuszczanych. Wrota gdzieś się otworzyły tylko. Na kamieniach bruku rosa nie miała jeszcze czasu oschnąć. choć długie rannego słońca promienie wciskały się gdzieś, przerywając półmrok poranka... Była to godzina, w której się żyć chciało.

W kamienicy bardzo porządnej i czysto utrzymanej, o czterech okienkach w ulicę. otworzyły się z wolna zaryglowane drzwi i wyszedł z niej staruszek.

Z życia awanturnika. T I.

Jego starość dobrze harmonizowała z tą młodością poranka: był świeży, rze żywy, ruchawy i choć białego włosa, choć pomarszczonej twarzy, wyglądał wesóło, raźnie—prawie nadto młodo. W oczach jego szarych błyskało życie i myśl niestrudzona, usta oblekał wyraz wesela, poruszał się szybko i swobodnie.

Znać w domu, z którego wychodził, wszyscy jeszcze spali, bo drzwi za sobą na kluczyk spuścił i do kieszeni go schował.

Staruszek był mały, dobrze zbudowany ale nie otyły, trzymał się prosto i ruszył dobrym krokiem ulicą, nie potrzebując lekkiego kijka, który miał pod pachą. Ubrany był w surducik szaraczkowy, szeroko-skrzydły kapelusz zasłaniał mu nieco twarz, a przez ramię na taśmie zawieszone zielone, lakierowane, owalne pudełko zdradzało naturalistę, wybierającego się na wycieczkę dla zielnika lub entomologicznego zbioru. Znać pilno mu było co prędzej wynieść z miasteczka, bo nie oglądając się wcale, przesunął się jego ulicami aż do przedmieścia i wolniej dopiero iść zaczął, gdy między ogrody się dostał.

Do ogrodów przytykał piękny lasek nad brzegiem rzeki. Była to prywatna własność jakiegoś zażdnego sąsiada, który o nią z miastem był w ciągłych sporach. Zabraniano tam przechadzek tłumnych i wycieczek i zarośle miało dosyć dziki pozór. Żadnej kawiarence, ani piwnicy i kręglarni nie dozwolono się tam umieścić. — Stare bardzo olchy, osiki, topole, dęby, brzozy, podszyte leszczyną i różnemi rodzajami łożyny rosły tu sobie swobodnie a sąsiedztwo rzeki podsycało je wilgocią, od której bujnie się wznosiły.

Doszedłszy do skraju lasu—profesor (tak zwano

czcigodnego staruszka) zaczął iść zupełnie wolno. oczy mu jeszcze żywiej pojaśniały, usta jeszcze weselej poczęły się uśmiechać — był tu dopiero jak w domu. W istocie dla herborysty lasek mógł dostarczyć wiele zajmujących obrazów. Roślinność była bujna i bardzo urozmaicona.

Profesor począł się rozpatrywać i niektóre znane sobie egzemplarze roślin witał z lekka. ujmując je ręką i puszczając ostrożnie, aby ich nie uszkodzić. Robił ogólny przegląd tej flory dzikiej, wśród której rzadkiego i osobliwego nic nie było. Ale profesor znać szukał jakichś szczególnych zjawisk chorób czy anomalji roślinnych. bo i najpospolitsze kwiaty bacznie oglądał — niektórym przypatrywał się przez lupę, ale nic napróżno nie zerwał.

Tak bez ścieżynki żadnej przedarłszy się przez klin lasu. już się zbliżał ku rzece, przez grube pnie drzew przeglądało coraz więcej światło dzienne i srebrzyste rzeki wody. gdy staruszek przygiąwszy się ciekawie, coś dopatrzył. co go nagle powstrzymało. Stanął za krzakiem leszczyny, zakryty nim. jak wkuty, kijek mu się wysliznął z ręki. usta otworzyły. oczy wlepił i oddech powstrzymał.. W istocie to. na co tak pilnie patrzył, godnem było jego uwagi. — bo i najobojętniejszegoby zelektryzowało.

Na skraju lasu wśród drzew stał jeden z najstarszych dębów. jakie tu widzieć było można — pień jego olbrzymi. guzowaty. pokręcony, kilką grubemi gałęzmi wyrastał ku górze... Każda z nich mogłaby być ładną piękną, stare drzewo sama stanowić...

Po za nim stał człowiek... Światło odbite od wo-

dy dozwalało go widzieć dobrze mimo mroku. jaki w lesie panował... Był młody, nie więcej pewnie nad lat trzydzieści przeżył na świecie... Lecz twarz miał żółtą. wychudłą, zapadłą i prawie trupałą... Głowę okrywał włos przerzedzony, wypełzły... Odzież stanowiły resztki niegdyś wykwintnego ubrania. wyszarzanego do szczętu... W chwili, gdy staruszek go zobaczył i zatrzymał się. młody człowiek był mocno zajęty...

Z kieszeni z gorączkowym pośpiechem dobył właśnie grubego kawał powroza, spojrzał nań. jakby oczyma chciał zmierzyć, potem szybko zaczął zadziergiwać pętlę, której mocy oburącz wypróbował... Natychmiast jeden jej koniec zarzucił na grubą, snąc już wprzód wybraną gałąź starego dębn... Obalony kłoc. resztką pnia dobytego z ziemi, leżał właśnie pod nią... Nieznajomy obejrzał się ku rzece do koła... i z szyi zerwał prędko coś. co dawniej chustką być musiało a teraz było poszarpanym czarnym gałganem.—Rzucił ją na ziemię... niespokojnemi rękami zaczął potem szukać po kieszeniach surduta i dobywać papiery, pozlepiane długiem w nich leżeniem... Opatrzył wszystkie schówki w odzieży, rozpiął surdut... po którym była zbrukana stara koszula, aby i tam zajrzeć jeszcze... zebrał wszystko na kupkę, przyrzucił nieco suchych liści... i z kieszonki dostawszy kilka zapalek. żywo ognia pod papiery podłożył. Patrzył się jakimś osłupiałym wzrokiem. gdy płonęły, poprawił je nogą parę razy... i uśmiechając się dziko znaleziony papieros, który trzymał w ręku, u dogasających papieru szczątków zapalił. — Parę razy wciągnąwszy dym, rzucił go na ziemię i zwrócił ku pętli wiszącej

nad głową... Sznur wstąpiwszy na kłoc przymocował... uwiesił się rękami, by go wciągnąć... potem szybko jakby się obawiał, by mu co nie przeszkodziło, wstał na kłodę. spał się na palce i szyję założył w pętlę...

Nie można już było mieć najmniejszej wątpliwości o jego zamiarach... jeszcze chwila... a zawisłby na sznurze... Stary profesor gwałtownie się przedarł przez gąszcze i gdy już miał wisieć, chwycił go za ramiona.—

— Człowiecze! zawołał wzruszonym głosem—co robisz! co robisz...

Schwycony na uczynku, nie przeraził się tą napaścią, drgnął tylko. odwrócił się, chciał coś mówić, ale w tejże chwili siły go opuściły, rękami napróżno w powietrzu szukając podpory. zachwiał się i byłby padł, gdyby go stary nie zatrzymał.

Samobójca omdlał. — Miał dosyć mocy, by przygotować czyn—ale ta wymierzona była znać ściśle i na więcej życia jej nie stało... Profesor zaledwie mógł ciężar omdlałego podźwignąć, zwolna tylko starał się go złożyć na ziemi, bladą głowę sparłszy na omszonej kłodzie... W pierwszej chwili chciał biedz po wodę do rzeki ze szklaneczką, którą miał w pudełku... rozmyślił się jednak, że omdlenie przejść może a ochota do zbrodni powrócić—pętla wisiała gotowa...

Naprzód więc stary spał się i obciął ją nożem, który dobył z kieszeni, potem dopiero ruszył do rzeki...

Zemdlały leżał bez poruszenia...

Stary miał czas powrócić, zaczerpuwawszy wody. wlał mu jej kilka kropel w usta i skronie nacierać za-

czał... Po chwili oczy się otworzyły i leżący oprzytomniał, chciał się podnieść, siły nie miał...

— Waćpan jesteś chory! rzekł doktor...

— Chory! tak... chory... ale nadewszystko głodny. odparł cicho ocalony...

— Jak to—głodny...

— Dwa dni prócz trochy wody nic nie miałem w ustach...

To powiedziawszy zamilkł...

— Zwlecż się, jak można... hyle tu do pierwszego domu — tam coś znajdziemy... poczał żywo profesor...

Nieznajomy, który oczy miał wlepione w ziemię i głęboko zdawał się zamysłony, nie odpowiedział nic — profesor powtórzył, pokręcając jego rękę—ocalony ruszył ramionami. —

— To, coś waćpan zamierzał—nie wykona się— dodał profesor, nie dopuszczę, choćby miało przyjść do walki. Musisz iść ze mną... nic nie pomoże... Młody człowiek, w tym wieku...

Nieznajomy obejrzał się z jakąś pogardą i przypatrywać zaczął bardzo pilnie mówiącemu... Badał jego twarz z ciekawością jakąś szyderską, nie odpowiedział wszakże nic.

— Proszę pana — odezwał się wreszcie po namyśle słabym głosem — dla czego się pan mieszasz w to, co do niego nie należy?

— Przepraszam, zawołał profesor, człowiek każdy należy do człowieka—mieszam się, bo mam prawo...

— Daj mi pan pokój! odwracając się—odpowiedział nieznajomy — to są brednie. Gdy trzeba karmić, pomódz, ratować, to do was nie należy, a gdy komu sprzykrzyło się żyć, nie wiedzieć po co i na co... przy-

chodzicie z waszem *vet o* i z waszą moralnością —
daj mi pokój! powtórzył gniewnie...

— Zmusisz mnie waćpan do postąpienia z nim jak
z obłąkanym, począł stary.

— A pan mnie możesz przymusić do postąpienia
z nim jak z rozbójnikiem.

— Nie masz nawet siły — rzekł profesor. Nastąpiła
chwila milczenia.

— Ja nie ustąpię — odezwał się stary. —

Nieznajomy milczał. podparł się na łokciu i za-
dumał. jakby nikogo przy nim nie było.

Profesor nie następował. przez chwilę milczenia
oczów nie spuścił z ocalonego biedaka. a wytrzymaw-
szy chwilę — rzekł.

— Mówiłeś pan. żeś dwa dni nie jadł. więc nie po-
ra na morały i na rozprawy — chodźmy naprzód. żebyś
się posilił. —

To mówiąc podał mu rękę.

Nieznajomy siedząc z wlepionemi w ziemię oczy-
ma począł się śmiać.

— Już wszystko było gotowe... licha tu waćpana
przyniosło! zawołał. — Po coś tu się znalazł? no? po co?
Zabawna rzecz! Wracam jakby już z drugiego świa-
ta... chwilka jedna i byłoby się skończyło... Waćpan
to wiesz jako naturalista. że śmierć przez powiesze-
nie... bardzo prędką...

— Przepraszam — przerwał profesor. bywa rozma-
cie — można się męczyć długo...

Nieznajomy spojrzał mu w oczy, wyciągnął rękę
w tył i pokazał na kark...

— Nie zawsze... mówił profesor — ale wstawaj wać-
pan i chodź. —

— Wiesz mój panie, żeś się wniósł w fatalną historję. przynajmniej tak kłopotliwą, jak gdybyś pode drzwiami swemi znalazł niemowlę, podrzutka... Wiesz już co mam w głowie, musisz mnie pilnować, wiesz, że'm głodny, musisz mnie karmić, widzisz, że'm goły, powstydzisz się z takim obszarpańcem chodzić. musisz mnie okryć — domyślasz się chorobliwego stanu duszy — będziesz obowiązany leczyć... po co ci ten kłopot.

Spojrzał na pudełko profesora.

— Nie lepiej ci to było przejść na palcach nie przeszkadzając, rwać kwiatki. a jakby ciało dobrze ostygło—dać znać do policji, że tam jakiś wisielec dynda.— Jakiś niepraktyczny...

— Nigdy w życiu praktycznym nie był—odezwał się profesor, masz słuszość — ale chodź no co zjeść. a o tem potem...

Prawie gwałtem uchwyciwszy za rękę młodego towarzysza. podźwignął go z kłody, na której siedział ocieźale. i zmusił iść z sobą. Nieznajomy zdjął z ziemi rzuconą chustkę. którą splątał w koło szyi, wyszukał rzucony kapelusz starty i dziurawy pod drzewem i w milczeniu począł iść posłuszny z profesorem.. Wydobyli się tak z lasu. Zaraz na skraju jego, gdzie się posiadłość miejska zaczynała, stał mały dworek, w którym była licha kawiarenka z ogródkiem. Wynędzniały kasztan osłaniał chudemi liśćmi parę nędznych stoliczków i ławek. Na stołach wczorajsze piwo porozlewane jeszcze lepkiemi kółkami stało... a wróble dziobały resztki bułek. które goście porozrzucali. W kawiarni dla tak ранней pory wszystko było pozamykane... Dziewczyna jednak służąca, zaspana i ledwie

przyodziana otwierała okiennice, rozpoczynając porządkowanie. — Profesor zawołał ją, grzecznie się uśmiechając i prosząc o kawę... Chciała mu coś odpowiedzieć, lecz nie dał jej się tłumaczyć i poszeptał coś, wciskając w rękę parę srebrników. a sam z towarzyszem zajął miejsce na ławce po kasztanem

Pusto było i cicho do koła, w dali szaro na wschodniem niebie, jakby omglone. rysowały się mury i wieże miejskie... po za domku ogródkiem płynęła rzeka. Nieznajomy ironicznie się jej jakoś przyglądał.

— Miałem naprzód myśl, odezwał się, po prostu w rzekę się rzucić — nie umiem pływać, poszedłbym na dno. — Ale któż ją wie, czy dosyć głęboka... Napić się paskudnej wody. obłócić i nie móżdż utopić — śmieszna rzecz... W dodatku taki chłodny ranek, woda zimna, jakiś miałem wstęt...

— I dobrześ waćpan uczynił — przerwał szybko profesor — bo woda nie głęboka... w lecie ją suchą nogą przechodzą.

Popatrzyli sobie w oczy.

— Cóż waćpana do tego przywiodło? zapytał z ojcowską łagodną wymówką profesor... Czy godzi się tak zwątpić o sobie i o ludziach, aby takiego szukać środka do pozbycia się egzystencji?

— I tam dalej! i tam dalej! — dodał bębniąc blademi palcami po stoliku nieznajomy — wszystko to, co byś pan mi mógł powiedzieć, wiem, na pamięć umiem. Chciałeś mówić, że byłbym dezterterem i tchórzem, że sam sobie winien, że po katolicku to grzech a filozoficznie to niegodne tchórzowstwo... i tem podobnie. Słowo panu daję, że ja to wiem, słyszałem, rozumiem wszystko — ale, mój szanowny wybawco a ra-

czej kacie, boś mnie skazał na nowe, głupie życie... są chwile zwątpienia i tchórzostwa. Na to nie ma rady! Są ludzie jak ja... głupi, nieudolni, występni... Cóż na to poradzisz?

Służąca przyniosła z wielkim pospiechem kawę, bułki, dzbanek mleka i karafeczkę rumu. Pożądliwe oko bladego chłopca zwróciło się na te przybory do jedzenia i zamilkł. Mimowolnie rękę wyciągnął drżącą i pochwycił bułkę.

— Czekaj—odbierając mu ją zawołał stary - bułki świeże a żołądek wygłodzony to choroba lub śmierć — napij się mleka z kroplą rumu lub kawy—bułka niech ostygnie.

Z troskliwością nianki zajął się stary profesor ocalonym, który milczał patrząc na przygotowania a dorwawszy się szklanki mleka z rumem chciwie jednym tchem ją wychylił i opróżnioną podał do nalania z błagającym ruchem ręki i wejrzeniem.

— Zaczekajmy trochę — rzekł profesor.

Nieznajomy westchnął i posłuszny postawił szklankę. Potem podparł się na łokciu i zadumał; popatrzał na swoje ubranie, dziurawe buty, zdarty kapełusz i westchnął. Profesor śledził wszystkie jego ruchy; pocziwe człeczysko choć ciekawy; oderwał się wprędce od tego zajęcia i począł mu kawę nalewać. Spróbował bułki świeżej, czy dosyć przestygła, aby ją bez niebezpieczeństwa wygłodzony żołądek mógł znieść, i przysunął mu filiżankę z kawą. Troskliwość ta ojcowska nie nszła choć roztargnionego oka nieznanego, w milczeniu pochwycił rękę profesora i uściśnął ją, łza mu się zakręciła w oku... Otarł ją żywo

ręką i zaczął się śmiać... jakby dziwując temu. od dawna niewidzianemu. gościowi.

O białym dniu człowiek ten wydawał się dziwniej. inaczej niż w lesie pod dębem. na którym się chciał obwiesić.

Osobliwsza była sprzeczność pomiędzy jego ubiorem, ostateńiej dowodzącym nędzy a postawą i ruchami pełnemi jakiejś swobody i pańskiego wykształcenia. — Twarz wybladła i wymęczona. pokryta skórą wyżółkłą, zachowała rysy piękne i szlachetne. Czoło miało wyniosłe i zawczasu wypęzłe, oczy czarne wypukłe, osadzone pod zasklepionym śmiało brwi łukiem. nos rzymski, usta małe i ironicznie wygięte. Niegolo- na i rozrzucona krótka broda, jasna jak włosy. z oczyma czarnemi stanowiła kontrast. nadający twarzy szczególny charakter. Ręce wychudłe. kościste, z palcami długimi, białe były i delikatne. Siedział. poruszał się. mówił z taką powagą jakąś pańską, jakby łachmany wdział na maskaradę. Straszliwe jednak złamanie. jakby piornowe uderzenie, wydawała twarz. oczy i ironja uśmiechu zgorzkniałego. — Mógł mieć lat trzydzieści - mniej może nawet, bo na startem obliczn wieku niepodobna było obrachować... Niegdyś piękny. dziś wydawał się strasznym.

Odzież, którą miał na sobie, była widocznie za- bytkiem lepszych czasów... nie na tandecie kupiona dla okrycia. ale niegdyś przez najlepszego robioną krawca, zużyciem obróciła się w brudne łachmany. Były to resztki elegancji. Podarta koszula. którą widać było z pod rozpiętego surduta. cieniuteńka. ale czarna od pyłu i spekana od noszenia... musiała mu służyć już od kilku tygodni.

Wypiwszy w milczeniu kawę, nieznajomy złożył ręce, na stole się podparłszy.

— Przypatrujesz mi się pan — odezwał się do profesora — jak zagadce. Cóż dziwnego, ja sam nią dla siebie jestem. Ocaliłeś mnie według swego przekonania — nie dopytujże, proszę, o nic — nie mógłbym nic powiedzieć. — Swoich sekretów nie mam, cudzych zdradzać nie mogę. Tyle wam powiem, że człowiek biedny i że ani ochoty ani sposobu do życia nie mam; ostatnią złotówkę zapłaciłem za kawałek postronka — cóż tu teraz począć dalej...

Profesor należał do tego rodzaju spokojnych ludzi, którzy nigdy głowy nie tracą, wiek w nim żywość poruszeń przytępił a raczej zmienił sposób, w jaki się objawiały. ale nie zgasił uczucia. Brał on życie, jakiem ono jest w rzeczywistości. i wierzył w to, że siła woli jest niezmierną dźwignią, dokazującą cudów. Przytomność go nigdy nie opuszczała.

— Zawsze jest jakaś rada — rzekł powoli — nie pytam pana. kto jesteś, ale spytać muszę, co umiesz? co możesz robić? Praca to warunek życia — jesteśmy mu poddani... coś robić potrzeba...

Młody człowiek zamilkł długo i sposepniał.

— Nie umiem nic lub nie wiele — rzekł — do pracy nie bardzo nawykłem. Mogę impetycznie bez przerwy dokazywać cudów przez dwadzieścia cztery godziny. nie nie jedząc i nie pijąc. ale potem muszę czterdzieści ośm leżeć do góry brzuchem... o wytrwałość pan nie pytaj.

— Cóżes pan robił? z wolna, cicho pytał profesor.

Nieznajomy zamyslił się. — Com robił? powtórzył — paliłem doskonałe cygara. polowałem w Afryce

na lwy a w Ameryce na bawoły. w Syberji na sobole, w Polsce z chartami na lisy i zające... piłem wino szampańskie butelkami...

Rozśmiał się, w białe dłonie twarz wcisnął i westchnął boleśnie. Nagle potem podniósł zbladłą twarz i dodał.

— Robiłem coś więcej... byłem sekretarzem u lorda Persy, lektorem u hrabiny Santa-Anna, buchhalterem w Hamburgu u Neumannów i Spółki, w Paryżu pierwszym komisantem u krawca pod Piękną Ogrodniczką; robiłem wiele rzeczy, ale każdą z nich nie długo... za wsze coś takiego wypadło. że musiałem zawód porzucić. Głupia rzecz życie...

— Trudna! trudna! odezwał się stary wzdychając— ale zkadżes się pan tu u nas w P...u wziął?

Twarz nieznajomego spochmurniała.

— Albo ja wiem—odezwał się—tak jakoś wypadło. żem sobie rodzinny kraj przypomniał... po troszę mnie pono wezwano, to jest wzywano. Stawiłem się za późno... przybyłem. gdy już nie było po co. Wracać nie było za co i do kogo. Tutaj, u was. żyć nudno i trudno — chciałem pójść — precz... No! i to mi się nie udało.

Zamyślił się i zapytał: Racz mi pan powiedzieć, kogo mam honor zwać moim zbawcą?

— Nazywam się Chryzostom Kudełka.

W oczach nieznajomego błysło jakby jakieś dawne przypomnienie. uderzył się po czole, uśmiechnął.

— A! to widzę pan jakiś nieśmiertelny — przerwał, wpatrując się w niego.

— Nie, ale mam lat osmdziesiąt—to prawda—śmie-

jąc się i w uśmiechu pokazując białe, zdrowe zęby
rzekł Kudelka.

— I herboryzujesz *con amore*?

— A dla czegożbym nie miał się bawić i uczyć, póki żyję — począł żywo profesor. No, a waćpan mnie znasz? czyś słyszał...

— Ach! ach! rzekł nieznajomy — chodziliśmy razem na ekskursje, alem naówczas miał lat piętnaście.

Spuścił oczy i zamyslił się.

— Więc z tego kraju? przerwał Kudelka.

— Tak—niby... ale dziś jestem tu — p r z y b ł ę d ą.
przybłądą—obcym.

Ruszył ramionami. — Trudno, byś mnie profesor sobie przypomniał; byłem nygus wielki — zielnika nie zbierałem, a na egzaminie. jak dziś pamiętam. palnąłem raz zamiast *umbilliferae*. *umbiliciferae*.

Profesor zerwał się z krzesła i w szerokie swe białe dłonie plasnął, aż służącą nastraszył.

— Teodorek Murmiński.

— A cóż bo za szalona pamięć! bledniejąc jeszcze bardziej i cofając się—krzyknął uradowany.

— Nie masz się co zapierać — żywo kończył profesor — po tych czarnych oczach bym cię poznał, ale tak... Murmiński... Patrzajcież... Co się z tobą działo?

— Mówilem — posepnie odezwał się zagadnięty — powiedziałem już wszystko—i zamilkł.

— A no czekajże! czekaj—począł profesor trąc czoło — zaraz wszystko przypomnę. Miałeś tu familię... na panicza cię chowali... któż u licha? zapomniałem...

— Nie miałem familji. bom był sierotą... począł Murmiński—miałem opiekunkę... ale—dajmy temu pokój. — Cała ta szczęśliwa przeszłość pogrzebiona na wieki wieków... nie ma co jej dobywać...

Mimo tego wezwania profesor niespokojny. zatopiony w myślach zaczął się przechadzać po małym ogródku — bijąc z pamięcią. która mu odmawiała posługi. Nieznajomy ironicznie się uśmiechając, ścigał go oczynia i ruszał ramionami.

— Zawsze taż sama — przerwał po milczeniu dłuższem — zawsze ta pocziwa dusza profesora Kndełki. co się to niegdyś sierotami opiekował i latał dla nich żebrac po drzwiach zamkniętych... Nic dziwnego. żem ja z tego wisnsa zmienił się na wisielca, staranny profesorze, ale że wy od lat kilkunastu nie zmieniliście się ani na włoskę... to sztuka...

Profesor zdawał się nie słyszeć tego mruczenia. tak był w myślach zatopiony, nagle stanął i jakby — Eureka—wykrzyknął.

— A tak... pani prezesowa Wa....

— Cichoż! cicho! zrywając się z krzesła — zawołał Murmiński — dosyć. profesorze. dosyć tych przypominień...

— Mój Boże! przecież sam na sam we dwóch jesteśmy... oparł się stary — przecież mam po starej znajomości niejakię prawo... przecież znając mnie powinienes mieć trochę zaufania—przecież ja wiem... byłeś na wychowaniu u prezesowej...

Murmiński miczał posępnie.

— Tak! tak, doskonale teraz wszystko mi przychodzi na pamięć. choć temu być może lat — z piętnaście,—Jakby wczoraj... Waćpan byłeś ukochanym wy-

chowańcem prezesowej na równi z jej synem... który sam dziś jest już prezesem... Z początku wychowywaliście się razem... potem tamtego wyprawiono za granicę... waćpan zostałeś jakby dziecią domu... Mówiono powszechnie, że prezesowa tak się do Todzia przywiązała, iż pewnie mu los obmyśli.

Na to wszystko nie było słowa odpowiedzi. — Murmiński napił się mleka i oglądał zniszczone odzienię... jakby myślał, czy w niem się na miasto pokazać może... Godzina już była, gdy się wszystko przebudzone ruszyło. W ulicach mnóstwo było ludzi jadących i idących na targ, na majówki... do kościołów... Profesor też doszedłszy, z kim miał do czynienia, nie chciał być natrętnym i umilkł — myślał także...

— Gdybyś był rozsądnym człkiem — rzekł — mógłbym tobie i sobie oszczędzić nieprzyjemności... Zostałbym cię tutaj, a sambym poszedł po jaką taką odzież.. żebyś się przebrał — ale z tą głupią myślą we łbie, jak ja cię tu mam porzucić...

Hm... ryzykujmy się iść razem do mnie... Może się prześlizniemy niepostrzeżenie... Spojrzał na Murmińskiego, który gałkę z chleba kręcąc... siedział ponuro...

— Dasz mi słowo honoru — że sobie nic nie zrobisz? spytał Kudełka... Lecz w tejże chwili sam nie czekając odpowiedzi przerwał — nie — nie. — Człowiek co się chciał wieszać — gotów jest i słowa nie dotrzymać... Chodź...

Na to dictum, nieco ostre Murmiński drgnął, lecz jakby nie chciał odpowiadać, ręką machnął tylko.

— Wiesz co, kochany profesorze, odezwał się, to prawda, że kto w tak niehonorowy sposób miał zejść

ze świata, ten tego, co zowią honorem, nie bardzo ceni — alebym ci chciał oszczędzić kłopotu i wstydu... Porzuc mnie tu na łaskę Bożą, radę sobie dam... Manja samobójstwa przeszła, kryzys minęła — nie ma niebezpieczeństwa... Słowa honoru ci nie dają, ale klnę się na pamięć tej świętej niewiasty, którą znałeś, która dla mnie była więcej niż matką, bo matką nie będąc, macierzyńskim kochała mnie sercem... Klnę ci się na jej wspomnienie — na życie się nie targnę... Idź, herboryzuj spokojnie... kwituję cię ze wszystkiego, tylko za mleko i kawę zapłać, bo mnie tu przyaresztują...

Kudelka się rozśmiała.. i nic nie odpowiadając mrugnął na stojącą służącą.

— Moja panno — rzekł obracając się ku niej... jestem profesor Kudelka, mieszkam przy ulicy św. Marcina—wybrałem się z domu jak stary roztrzepaniec — nie wziąwszy sakiewki... munczę iść po pieniądze... powrócę za pół godziny, a w zastaw ci zostawuję tego oto pana, którego nie puszczaj, aż ja przyjdę.. bo przepadnie kawa...

Służąca patrzyła wielkimi zdziwionemi oczyma i zaczerwieniła się, była widocznie w kłopotcie, nie wiedząc co począć, strach ją ogarnął, żeby oszukana nie była...

Szczęściem dla profesora we drzwiach nasłuchiwała gospodyni domu, która znała profesora, bo syn jej chodził do gimnazjum. Widząc służkę zmięszaną, wystąpiła ze drzwi dając profesorowi i dziewczynie znaki... Kudelka podszedł do niej i coś jej poszeptał cicho... Potem rękę podał Murmińskiemu.

Z życia awanturnika. T. I.

— Czekaj tu pan na mnie, od tego nie odstępuję — proszę.

I szybkim krokiem, jak dwudziestoletni chłopak, wyruszył ku miastu, oglądając się, póki kasztan widać było, czy Murmiński mu z miejsca nie ruszył.

Podparty na rękach ocalony ów biedak siedział jak wryty, oczy mu świeciły zrazu dziko, wlepione bez myśli w ścianę domu... potem zwolna ociężałe powieki zaczęły się przemykać — znużenie jakieś nim owładło, opuścił głowę na stół, położył ją na rękę... i zasnął.

Gospodyni i sługa tego dziwnego gościa powierzonego ich straży pilnowały bardzo troskliwie. Jedna to druga wychylała się ze drzwi naglądając, czy siedzi. Sen nawet nie uspokoił ich, bo posądzały może, iż był zmyślony. Szczególniej pani Frydrykowa, gospodyni domu, której chodziło o względy profesora dla syna... stała na straży niespokojna.

Ale dozór ten był przynajmniej zbytecznym, bo znużony i złamany biedak, zasnął snem tak twardym, nieruchomym, ciężkim, iż go nie łatwo nawet wrzawa blizkiego gościńca obudzić była mogła.

Słońce wcisnęło się swemi promieniami przez liście kasztana, pałac mu wypełzłą głowę, co zmusiło grzeczną gospozię do ustawienia parasola nad nim — a i to go ze snu wyrwać nie mogło. Spał chorobliwym snem głodu, męczarni dusznej, długiej i wielu nocy czuwania.

U państwa prezesowstwa Wa... tego właśnie wieczora było tygodniowe ich przyjęcie, herbata, na którą znajomi nieproszeni, albo raczej raz na zawsze zaproszeni schodzić się byli zwykli. Dom ich otwarty, gościenny gromadził zawsze wielu gości, bo prezes miał

znakomite stanowisko w obywatelstwie, prezesowa rodem i stosunkami należała do prastarej szlachty miejscowej, a osobistemi przymiotami rozbrajała nawet niechętnych. — Ludzie byli oboje nie starzy; prezes przeszedł już trzydziestówkę, pani, od lat dopiero pięciu zamężna, miała ledwie dwadzieścia kilka. — Zuaczny majątek prezesa, piękny posag pani Julji (którą w jej kółku nazywano poufale Żulietą) — najstaranniejsze obojga wychowanie, świetne stosunki, któremi sięgali oboje aż okolenia królewskiego dworu... koligacje. nader umiejętnie nprawiana wziętość w obywatelstwie, ton najpierwszych salonów europejskich czyniły dom prezesowstwa jednym z tych, do których być przyjętym stanowiło zaszczyt dla człowieka. Złota młodziź, wychodząca w świat. zwykła była dla nadania sobie tonu mówić od niechcenia: — Byłem u prezesowstwa, mówił mi prezes — słyszałem od pięknej prezesowej...

Nigdy małżeństwo lepiej dobranem być nie mogło.

Prezes wychowanym był nadzwyczaj starannie w kraju, potem za granicą, podróżował wiele. wytrawny był, poważny i najnieposzlakowańszych obyczajów człowiek...

Wszystko. do czego jego stanowisko obowiązywało, spełniał z regularnością doskonałego angielskiego chronometra.

Zaczawszy od majestatycznej jego postaci. ubrania. które się nigdy ani sprzeczało z modą, ani ją wyprzedzało — wszystko w nim w doskonałej harmonji było i nigdy słowo ani ruch żywszy nie zakłócił majestatycznej powagi tej pańskiej natury. wycywilizowa-

nej wedle najdoskonalszej metody. Wśród tysiąca możua w nim było poznać potomka starego rodu, który pamiętał o tem, że nosił imię obowiązujące i należał do pewnej sfery, z której mu się zstąpić do niższych klas nie godziło ani uczuciem, ani słowem, ani namiętnością ludzką, ani słabością człowieka.

Rozpoczął życie obywatelskie skończywszy uniwersyteckie studia *laude cum maxima*, wydoktoryzowany jak się należy, od pomniejszych urzędów obywatelskich szedł stopniami coraz wyżej, zaszczycony zarówno zaufaniem współobywateli i szacunkiem rządu, którego nigdy w niczem najmniejszą chętką opozycji nie podrażnił. W ogóle prezes był ze wszystkimi dobrze, a najlepiej z tem, co jakakolwiek siłę i powagę reprezentowało. Nie potrzebujemy nawet objaśniać, iż był konserwatystą najczystszej wody, legitymistą, gdzie się tylko nim być dało, i czcicielem legalnego *status quo* — z poza którego w żadnym razie nie wychodził.

Całą energję swego charakteru prezes dobywał w ważnych wypadkach, aby się na tem stanowisku utrzymać. Był też jak najlepiej widzianym u dworu, a obywatelstwo, choć popularnym się być nie starał, ceniło go też wielce.

Doszedłszy tego wieku, gdy ludzie się żenić zwykli, ani za wcześnie, ani za późno zwrócił swe oczy na szczęśliwą dziewczę, znacznego domu córę — a za-wczasu wywiedziawszy się, że tam przyjętym będzie, puścił się w prawidłowe konkury. Panna Julja była jedną z najpiękniejszych cór rodziny, która ich miała kilka... Zdało się, że Opatrzność tę istotę idealną własnoręcznie z najczystszej gliny ulepiła na małżonkę

dla takiego prezesa. — Nic nigdy piękniejszego nie wymalował Dubuffe, ani Winterhalter. Wzrost, postać, kibić, twarz czyniła ją najwspanialszym typem arystokratycznym. Jaki sobie wyobrazić można... Utalentowana, miła, grzeczna, pełna taktu... zachwycająca wdziękiem wejrzenia i uśmiechem była pychą rodziny, która ją na ręku nosiła. Na kwiatek ten nigdy mroźny wiatr nie powiał oddech, nie doświadczyła w życiu żadnej z tych niespodzianek, które słodki spokój dziewiczej duszy zakłócić mogą... rozkwitła jak lilia w pięknym dniu wiosennym, uśmiechnęta, z czołem jasnym, z sercem bijącym w takt ze starym zegarem domowym... Powiedziano jej, że prezes był człowiek *très comme il faut* — znalazła go zobaczywszy takim. Jakim sobie dostojnego wyobrażała małżonka... mówili z sobą kilka razy... prezes przywiózł kilka przepysznych bukietów — a potem, potem w atlasowej sukni, oszytej koronkami brabanckimi, z wieńcem kwiatów pomarańczowych na białej skroni, słiczna Julia podała rękę u ołtarza nieposzlakowane w czarny frak zaszytemu narzeczonemu i żyli z sobą oto już lat pięć — jak aniołowie w raju... Szczęśliwszego i spokojniejszego małżeństwa nie było na świecie. — Z największą, nadludzką prawie sztuką prezes tał tak swe szczęście, jak gdyby nie chciał, aby je oczy ludzkie doszedzić mogły. Piękna Żulietta nazajutrz po weselu była tak nieporuszenie tąż samą, co tygodniem wprzód — jakby jej ani na chwilę żywiej nie uderżyło serce...

W rok po ślubie państwo prezesowstwo mieli syna... we trzy lata Pan Bóg dał córeczkę... Dzieci tych, rozumie się, nikt nigdy nie widywał — i po matce

poznać dotąd nie było pięcioletniej mężatki... Prezesowa lubiła się stroić, ale to należało do obowiązków jej stanu i położenia...

Dom też znakomicie był urządzony... Nigdy w niczem braku, nigdy żadnego zbytku... Ojciec prezesa jeszcze kupił był grunt znaczny w mieście, na którym zbudował pałacowo wyglądającą kamienicę i zasadził ogród, który teraz był jednym z najpiękniejszych. Kwiaty i krzewy z Erfurtu sprowadzano. — Raz w tydzień przyjmowali prezesowstwo wieczorem... kto przyjść był łaskaw. Oprócz tego częste się trafiały obiady dla przybyłych z daleka wydatniejszych osobistości, które w społeczeństwie zajmowały stanowiska zbliżające je do gospodarzy.

Ponieważ prezesowa była muzykalną, wyjątkowo zapraszano też artystów europejskiej sławy, ale tych — pomimo największej dla nich grzeczności umiano zawsze trzymać w pewnem przyzwoitem oddaleniu, aby się nie zapominali i na zbyt nie poufali.

Prezes był surowym przestrzegaczem tych barjer dzielących społeczeństwo na stada różnych ras, grubo i cienko wełnistych i nie dopuszczał, aby się to lekko-myślnie na stopie niedorzecznej równości mieszało... — Nie wdawał się w żadne rozprawy w tym przedmiocie, zbywając pytania surowym wzrokiem i znaczącem milczeniem — lecz czynem popierał niezłomne przekonania swoje.

Słowem był to człowiek, który zaszczyt przynosił krajowi, którego słowo ważyło wiele — a wyraz każdy powiedziany powtarzano z ust do ust, podając sobie jako pełen głębokiego znaczenia.

Tego wieczora prezesowa nad wszelki wyraz piękną była... Płec jeszcze zachowała dziewiczą, kibić wysmknłą, a że suknie noszono dosyć otwarte, mogli goście podziwiać spadek ramion jakby dłutem Praxytela wytoczony... Uśmiech łagodny igrał po jej różowych ustach. Miała na sobie suknię blado słomkowego koloru z liliowemi ozdobami, w której cudnie jej było do twarzy. Kilka zielonych liści wodnych roślin stanowiły całe przybranie kruczych warkoczów, nadzwyczaj obfitych i połyskujących.. Prezes w czarnym fraku pilnował drzwi, bo był nadzwyczaj grzecznym, uważającym i nigdy ani etykietcie, ani człowiekowi nie chybił.

Prawdziwy człowiek wielkiego świata miał tej grzeczności kilkanaście różnych form, które zastosowywał mistrzowsko — nigdy z fałszywego nie zagrał tonu, każdemu podobać się umiał, wiedział, jak i o czem do kogo przemówić, a mierzył uśmiech, słowo i nścisk ręki, jak dobry kupiec mierzy i odważa towar.

Ktoby był chciał się przypatrzeć, gdy witał swych gości, jak jednemu podawał całą dłoń, wstrząsał nią, ścisnął, drugiemu wydzielał kilka palców, niektórym wysnwał jeden lub półtora, innych zbywał ukłonem grzecznym, trzymając ręce pod frakiem lub nagle chwytając chustkę, — byłby mógł całą skalę dostojności, znaczenia wagi tych panów wymierzyć. Prezes nigdy się nie zapomniał, nigdy nie rozgorączkował, nigdy nie dał owładnąć nierozumnemu uczuciu — był zawsze panem siebie i to go nader stawiało wysoko.

Jako jeden z dostojników towarzystwa miłośnicza chrześcijańskiego, które wzięło na siebie pieczę nad ubogimi miasteczka — nie było przykładu, ażeby

kiedy prywatnie dał grosz ubogiemu, nie wyegzamino-
wanemu poprzednio z katechizmu i przebiegu życia. —
Nie ma wątpliwości, że nieraz go to wiele musiało ko-
sztować — ale mężnie stał przy zasadach, a prezeso-
wej też trzeba oddać tę sprawiedliwość, że choć z wię-
kszym sercem niewieściem, ściśle szła za jego przy-
kładem.

Salon zaczynał się napełniać powoli. — Nie wi-
dywano w nim nigdy, jak to się gdzieindziej trafia, tej
mieszaniny smutnej ludzi różnych warstw towarzy-
skich, przekonań, wychowania i manieri — tu — wybór
tylko był i smietanka.

Mogłeś być pewnym, że nie spotkasz tu barba-
rzyńca, któryby nie umiał po francuzku, nie widział
Paryża, nie należał do jakiego bractwa, nie nosił ja-
kiegokolwiek tytułu, lub tytułiku i nie miał kilku przy-
najmniej tysięcy talarów dochodu. — To też nie mil-
szego nie było w świecie nad salon pani prezesowej.

Tego wieczora, właśnie gdy już kilkanaście osób
należących do najlepszego towarzystwa znajdowało
się w salonie, a sam prezes, wedle zwyczaju, w pół
jego szerokości wyczekujące zajmował stanowisko —
we drzwiach njrzano figurę tak jakos od razu nie kwa-
drującą z prawidłowemi postaciami zebranego kółka,
iż prezes, zobaczywszy ją, chwilę stał jakby osłupiały,
dopiero zebrawszy myśli (co było można poznać po
brwiach ściągniętych mocniej, niż zwyczajnie) postą-
pił parę kroków naprzeciw przybywającego.

Ten wsuwał się tak nieśmiało, czarny stary ka-
pelusik trzymając oburącz przed sobą, jakby przepa-
szał z góry, iż smie wchodzić w tak dostojne grono.
Był to mały, chudy ale rzeźwy starszek z siwemi zu-

pełnie włosami. z uśmiechniętą twarzą. postępujący małemi, nieśmiałemi kroczkami i zatrzymujący się bojaźliwie. Starego kroju frak granatowy z wysokim kołnierzem i dnżemi żółtymi, jawnie dziś na nowo wyczyszczonemi guzikami okrywał go dosyć nieszykownie... Na szyi miał grubo zawiązaną chustkę białą ze znakomitym fontaziem, kamizelkę pikową krochmalną i spodenki, które długie znać leżenie w sznfladzie skróciło tak, iż między poczernionemi butami a niemi skóra naiwnie żółtawa niepotrzebnie się ciekawiła. Koniec pięknej białej chustki od nosa puszczonej z kieszeni fraka. jak zwiędły kwiat lilji spoczywał na obszernych połach. — Stare dewizki od zegarka sztucznie wydobyte z pod fraka na światło dzienne malarski to czyniło efekt...

Był oryginalny i pocieszny pocziwy profesor Kudelka — ale nikt lat ośmdziesięciu nie nosi bezkarnie...

Prezes poznawszy go. przystąpił doń z miną poważną mecenasa nauk i męża szannjącego niezonych; uśmiechnął się dobrotliwie, wyciągnął jedną rękę aż z dwoma palcami i podał ją Kudelce.

— Szanownego profesora! — zawołał — a to święto nad świętami — pana dobrodzieja w salonie zobaczyć... Czy znasz moją żonę?

— Miałem honor być prezentowanym! nisko się kłaniając, rzekł cicho bardzo profesor...

— Żono — odezwał się prezes wskazując przybyłego — pan profesor Kudelka...

Prezesowa z uśmiechem protekcyjnalnym skłoniła głowę.

Profesor jak okradziony, z kapeluszem na pierśsiach, pozostał wśród salonu niewiedząc, co zrobić z sobą, z rękami i z tym nieszczęsnym kapeluszem... Naostatku i to go mitrężyło, iż czuł a raczej jasnowidzeniem jakimś przeczuwał, że cholewy od butów bezwstydnie wyjdą na jaw... Już w drodze używał wszelkich środków mogących do normalnego stanu przyprowadzić okrycie granatowe, w przedpokoju własnoręcznie je poobciągał... tymczasem... czuł, wiedział. był pewnym, że bunt nastąpi.

— Musisz się pan profesor cieszyć taką śliczną, kwiecistą wiosną, wtrącił gospodarz widząc zakłopotanie gościa... Cóż to za piękne mamy kwiaty...

— Prawda! odezwał się profesor dobywając z ciężkością głos z piersi, stłumiony zakłopotaniem—boże dziatki radują się słońcu... a tak to buja! buja! a tak się to śmieje. a pachnie... a błyszczy...

— Żebyś widział ogród mojej żony, dodał prezes. rad się pozbyć profesora i rzucić go niewieściemu kółku. bo właśnie rozprawiał o nowem towarzystwie kredytowem...

Profesor zwrócił wzrok i ukłon ku prezesowej, ale się z miejsca nie ruszył.

— To flora aklimatyzowana, nie nasza—rzekł, to są przybysze z różnych stref i z różnych świata części, a ja—najbardziej lubię nasze kwiateczki, te. co to sobie dziko rosną, gdzie je pan Bóg posiał lub posadził...

Prezesowa odgadłszy męża. odezwała się, chcąc profesora ku sobie odciągnąć.

— A i ja też mam w ogrodzie nasze kwiatki!

Kudelka się uśmiechnął. lecz został na miejscu

jak wknty... Nie wiadomo. jakby się było to skończyło,—gdyby nowy gość nie ukazał się na progu. Był to przybyły z nadsprejskiej stolicy dygnitarz. ku któremu gospodarz szybkim krokiem podbiegł niemal do progu. potrąciwszy nawet profesora, za co go nie miał czasu przeprosić... Kudelka zmieszany jeszcze bardziej. cofnął się kroków parę, powiódł oczyma po przytomnych—nikogo nie znalazł znajomego...

Położenie staruszka było nad wyraz przykre; co żyło. otoczyło dygnitarza. rozmowa wszczęła się po francuzku a profesor, choć ten język umiał doskonale, mówił nim nie ceremonijną się zbytecznie z wymawianiem.

Zostawiony sam sobie. nie bardzo pewien. czy wypadało mu usiąść, jeszcze mniej pewny, gdzieby było najprzystojniej zająć miejsce; w ostatku wpadłszy na smutny tor myśli. iż siadając. może żółtą ową skórę jeszcze więcej na światło dzienne wyprowadzić — profesor został w smutnej zadumie nad znikomościami świata tego. Robiło mu się zimno, gorąco; czuł, że mu paliła twarz, że krew po żyłach biegła jak spłoszona, to się nagle zatrzymywała — słowem stan to był tak niezuośny, iż Kudelka całej siły ducha potrzebował. by dotrwać na stanowisku.

W dodatku do tych nieszczęśliwości profesor nie przybył tu dla zabawki, miał pewny cel i zamiary—chciał sam na sam pomówić kilka słów z prezesem a tu skład towarzystwa najmniejszej mu nie dawał nadziei, ażeby wśród tak dostojnych gości on ubożuchny nauczyciel, mógł do gospodarza przystąpić.

Lecz profesor Kudelka był człowiekiem mężnym,

westchnął, zrezygnował się i pozostał, mało się tylko usunąwszy od środka salonu.

Są przecież litościwe serca na świecie, nawet w takich prawidłowo urządzonych domach, w których się im popisywać z tem nczuciem nie dozwala d e c o r n m.

W rzędzie pań. za kołem otaczających prezesową, siedziała osoba nie młoda, w czarnej sukni także nie bardzo świeżej. skromnie ubrana i bez pretensji. Dosyć otyła, nie piękna wcale. jejmość ta. jakby z obowiązku tu przybyła. siedziała głęboko w fotel wsunięta, ze złożonemi na piersiach rękami, wachlując się od niechcenia... Wzrok jej błędził po salonie i uszy nie zdawały się śledzić francuzkiej rozmowy z dygnitarzem.

Spostrzegła ona zakłopotanie Kudelki. uśmiechnęła się łagodnie. wstała powoli i wprost przyszła do niego. Profesor poznał w niej doktorową X. z domu — (wierście czy nie wierście. jak się wam podoba) hrabiankę W.—To jej świętej pamięci hrabstwo dawało wstęp do salonu prezesowej, której była bliską krewną. Zaczna doktorowa znała dobrze Kudelkę. litość ją ku niemu przyprowadziła. Profesor zobaczywszy to i zmiarkowawszy, że ku niemu dąży, byłby jej padł do uóg przez wdzięczność. Doktorowa najzaciewniejszą w świecie była istotą a razem najprostsza, najserdeczniejsza. i—co jej w oczach prezesowej szkodziło bardzo — śmiałą wyznawczynią swych przekonań... czasem excentrycznych i w niebywałe formy ubranych.

Obawiano się doktorowej w towarzystwie. bo choć zwykle aż do zbytku była milczącą, gdy jej jaka

urzędowa niedorzeczność dopieklą—brała na kiel i mówiła rzeczy, od których piękne uszy wiedły...

— Co też ty tu mój biedny profesorze. robisz? ja keś ty się tu zabłąkał? na miłość Boga! zawołała witaając go — a to coś osobliwszego jegomości zobaczyć na woskowanej posadzce...

— Pani dobrodziejo — uśmiechnął się Kudęłka— to prawda—wyznaję, wybrałem się wedle niemieckiego przysłowia... jak osieł na lód tańcować... ale niemieckiemu osłowi, wedle tegoż dyktu, zbiera się na taniec, gdy mn bardzo dobrze... a mnie...

Nie dokończył.

Doktorowa mrugnęła nań—Chodź no. chodź. siądzimy sobie starych dwoje na uboczu i — pogawędzimy...

Profesor o butach zapomniawszy posunął się za doktorową—hrabiną. W kącie oddalonym salonu była kanapka i krzesło... Pani zajęła miejsce na niej i chciała przy sobie posadzić Kudęlkę, ale ten skromnie zajął miejsce obok na krześle... Ogromny ficus zimnemi swemi liśćmi botanika ocieniał. Doktorowa patrzyła na staruszkę, którego lubiła bardzo, i uśmiechała się ciągle. — On w niej znał też złote serce... miał ufność zupełną. — Mówił sobie, że mu ją Opatrzność zesłała...

— Kochany profesorze, ty co zwykle w tej godzinie — lub wcześniej z kurami idziesz na spoczynek — poczęła jejmość, ty, co po salonach bywać nie lubisz.. powiedz mi. ale szczerze, co cię tu mogło sprowadzić —Bo to, nie bez kozery.

Westchnął stary.

— Zgadłaś pani—nie bez kozery, chciałem na oso-

bnosci... tak... tego... mieć zręczność pomówić z prezesem...

Doktorowa ramionami ruszyła.

— Widzę, że to dziś nie będzie łatwo, dużo gości, mówił profesor—a tak w inne dni i inne pory dnia do prezesa lokaje nie dopuszczają.

— Czybyś potrzebował czego od niego?

— A! nie! nie! — wyparł się Kudelka tak chciałem pomówić...

— Mów bo prawdę...

— Szczerze mówię... ale...

— Cóż to—sekret jaki? wtrąciła pani.—

— Nie, nie, żadnego nie mam, prosta ciekawość.

— Może też i jabym ją zaspokoić mogła? a ze mną sprawa łatwiejsza—dodała doktorowa—pocciwy nasz prezes. okrutnie krochmalny...

Profesor ręką zaprotestował... Namyslał się głęboko... nareszcie począł przysunąwszy się bliżej.

— Prosta to jest niedorzeczność z mojej strony.— Widzi pani dobrodziejka. stary pedagog. stary kawaler bezdzietny mam ten zwyczaj że mnie moi uczniowie i losy ich obchodzą... Otóż jednego z nich... który—który—który się w domu starej prezesowej, wychował—(wyrzucił nagle Kudelka patrząc bojaźliwie na twarz doktorowej) losy mi są zupełnie niewiadome... Był to chłopak...

— Któż!... może Todzio Murmiński... jakby przestraszona, po cichu przerwała pani.—

Profesor głową dał znak potakujący...

— Na miłość Boga — otóżes się wybrał — człowiecze... zawołała zasłaniając się wachlarzem... Cóż ci się stało!! W tym domu tego nazwiska wyrzec się nie

godził! To szczęście i łaska Boża, żeś się przyznał przedemną... Ani słowa o nim! ani słowa...

Profesor zbladł, głowę pochylił, a szeroki kołnierz starego fraka jakby go chciał utulić podniósł mu się aż do uszów... On sam trwożliwie z pod niego wejrzał ku siedzącej przy nim doktorowej, która żywiej coraz wachlarzem rzuciła, spoglądając na starszka z rodzajem politowania.

— Ależ to był prawie jak syn przybrany? jakby dziecię domu? szepnął profesor — Czy co zbroił? czy mu miano do zarzucenia? dla czegożbym nie miał choć zapytać o niego — mówił dalej. — Ja przecie nic nie wiem... nic...

Doktorowa ramionami ruszyła zniecierpliwiona, pochyliła się ku niemu i poczęła po cichu.

— Jesteś stare dziecko, mój profesorze. Zkąd ci tak mogła przyjść ciekawość? Ten Todzio był podobno w ostatnich... ruchach... potem się okrutnie zawantuirował... Prezesowa czując swój zgon kazała go powołać... ale go znaleźć nie mogli... Prezes go znieść nie może...

— Ja pytam pani dobrodziejki — czy na nim cięży jako plama, dodał stary.

Znowu doktorowa ruszyła ramionami.

— O żadnej plamie nie wiem... ale wiem, że go tu nie cierpią, że tu jego nazwiska wspomnieć nie wolno. że prezes się rumieni z gniewu, gdy kto go przypomni.. Człowiek tak wytrawny... a w tym jednym razie opuszcza go zwykła powaga.. coś więc być mnsi...

Prezesowa nie przyznając się, ażeby co wiedziała, uśmiechała się ironicznie, dziwnie jakby tylko nie

chciała lub powiedzieć nic—nie mogła, pocciwy Kudełka nic nie rozumiał.

— Moja mościa dobrodziejko, odezwał się po długim namyśle — przecież mnie nie zabiją, gdy spytam a zapytać muszę, bo — bo mnie los tego chłopca obchodzi.

Chłopiec ten, żywiej poczęła pani—wedle wszelkiego podobieństwa nawet już pewno nie żyje... Przybył tu na chwilę po zgonie swej opiekunki... nie wiem co wówczas między nim a prezesem zaszło...

Poprawiła się zaraz pospiesznie.

— Nie wiem nawet czy co zaszło — nic niewiem.. ale znikł... powiadają że czy do Indji czy do Chin się najął na statku i jak w wodę wpadł...

Nastąpiło milczenie długie — profesor się zamyślił. lecz odzyskał zwykły swój spokój i równowagę ducha. Doktorowa która ciągle się przypatrywała, dostrzegła, że mu się twarz rozjaśniała.

— A więc złego o nim nie ma nic - dodał —to chwala Bogu! Chwała Bogu...

— Cóż on cię obchodzi! spytała schylając się stara... czy cię doszły jakie o nim wiadomości?

— Obchodzi mnie. wymijając drugą część zapytania rzekł profesor — no — jako dawny mój uczeń nic więcej... Bądź co bądź grzecznie spytam prezesa. byle się nastreczyła zręczność? Jużciż się pogniewać nie może...

— Pogniewa się niezawodnie i zrobisz mu przykrość! przestrzegła doktorowa chwytając go za rękę. . proszę cię—daj temu pokój.

— Ale—muszę!... muszę! zimno odpowiedział stary.. jestem uparty...

Nie było co dłużej z nim dysputować — całą pociechę dosyć niespokojnej doktorowej było to tylko, że wedle wszelkiego podobieństwa, profesor nie znajdzie sposobności rozmówienia się z prezesem... W chwili, gdy jeszcze miała dalszą prowadzić rozmowę, głos srebrny pięknej Żuljetty odezwał się powołując ją na świadka w jakiejś sprawie. Doktorowa musiała wstać, ale odchodząc ścisnęła rękę staruszka i szepnęła żywo.

— Daj temu pokój. daj pokój...

Kudelka, posiedziawszy chwilę na kanapie zadumany, poruszył się później, lecz wbrew radzie doktorowej z mocnem postanowieniem zagadnięcia gospodarza. jeśliby się tylko trafiła zręczność po temu.. W tej chwili do niego i do stolika przysiadł się dawny uczeń — dziś ogorzały obywatel wiejski. człek dobrego humoru i serca.. Zaczęli się śmiać przypominając studenckie czasy. — Obywatel zapraszał dawnego profesora na ekskursję do siebie. Tak upłynął kwadrans czasu, podano herbatę... pili ją razem u tego oddalonego stolika. Kudelka nie widział, zagadawszy się, że często niespokojny wzrok doktorowej śledził jego ruchy i czynności. Po herbacie mężczyźni zasiedli do gry w pierwszym salonie i bocznym gabinecie, pospodynię wielbiciele jej talentu uprosili, aby grała. Fortepian stał w bocznym saloniku... obywatela odciągnięto do whista. Gospodarz, który jako gospodarz nie grał, znalazł się tak jak sam na sam z profesorem... Zbliżył się więc i usiadł przy nim.

Kudelce twarz rozpromieniała.

— Teraz — rzekł w duchu — teraz albo nigdy; ale

Z życia awanturnika. T. I.

trzeba rzecz zręcznie naprowadzić, jak gdyby sama z siebie przysła.

Rozmowa poczęła się obojętnie.—Prezes był wesół i uprzejmy—mówiono o dawnych czasach, o wieku, o starości...

— Otóż to — odezwał się prezes — jak to pięknie. przykładowie spędzone życie wypłaca się miłą, zdrową, czerstwą starością. Pan dobrodziej jesteś tego najlepszym przykładem. Wszystkie zachowałeś władze i taką młodzieńczą świeżość ducha... ja panu zazdrościć ..

— A! mości prezesie dobrodziej — dalipan. nie ma czego—westchnął profesor. Natura dała człowiekowi to władz jego osłabienie w dobroczynnym celu, ażeby mu zgon uczynić mniej bolesnym. Traci się pamięć, zmysły. żywość wrażeń i powoli. stopniowo przechodzi w ten stan spoczynku. po za którym... królestwo śmierci i rzeczy zagadkowych.

Prezes spojrzał, widocznie mu się zagadkowe rzeczy jako dowodzące sceptycyzmu nie podobały.

— Kochany profesor żyć nam będziez więc bardzo długo, boś jeszcze przy wszystkich, dzięki Bogu. władzach i w sile.

— Tak, po troszę coś mi zostało—rzekł stary—najbardziej się cieszę, że mi Pan Bóg pamięć zachował, bo utrata jej byłaby dla mnie najprzykrzejszą. Czy uwierzy pan prezes, że ja moich dawnych uczniów wszystkich, ale to wszystkich, tak pamiętam z twarzy. mowy, miny, jakbym ich widział wczoraj.

Doktorowa znać niespokojona o rozmowę. przysunęła się w tej chwili do stolika, lecz prezes poprosił ją, żeby żonie pomogła przy gościach. Rada nie ra-

da. rzuciwszy wejrzenie na starego, oddała się ociągając.

— Ja takiej pamięci nie mam—dodał prezes.

— Ale—choć może nie w miejscu, lecz w związku z tą moją pamięcią, która jest razem pociechą i utrapieniem mojem—wszak ci to w domu i pod opieką pani prezesowej matki wychował się niejaki Teodor Murmiński...

Profesor mówił zwolna i chłodno, patrząc w oczy prezesowi... lecz z już w pół niedokończonego frazesu postrzegł, iż lepiejby był może zrobił, usłuchawszy rady doktorowej. Prezes, który siedział nieco zgięty na kanapie, bacznie się prostował, twarz oblała mu się purpurą, oczy zaogniły i niespokojnie wpłyły w twarz mówiącego. usta drgały, czoło się fałdowało—słowem. wrażenie nagłe którego pochamować nie miał czasu ani siły, wybiło się tak wyraziste w jego rysach, że Kudelka załęknięty—umilkł. Prezes też, choć obowiązany do odpowiedzi, długo milczał. znać szukał takiej, ażeby wszelką dalszą rozprawę o niemiłym mu człowieku zamknęła.

— Nie wiem—rzekł—co się z nim stało.

W głosie czuć było gniew; oczyma zdawał się szukać w twarzy starego, czy wzmianka ta przysłała w istocie przypadkowo, czy może była obrachowaną, umyślną, uczynioną dla dotknięcia go boleśnie. Kudelka siedział niewinny i spokojny.

— Szkoda chłopca — odezwał się — był żywy do zbytku. roztargniony, ale zdolny...

Ironiczny uśmiech rozlał się po ustach prezesa. który drżał cały jakby ze źle tamowanego gniewu. Zdawało się, że chciał coś powiedzieć, zagryzł usta.

rzucił na profesora surowym, pełnym wyrzutów wzrokiem i chciał wstawać. Kudelka miał wolę żelazną i w ważniejszych sprawach odwagę daleko większą niż wchodząc do salonu.

— Może to nie dyskrecja będzie z mej strony, począł chłodno, ale staremu to darowane. że o losie dawnego ucznia chce wiedzieć. Wiadomo to powszechnie, iż ś. p. prezesowa żywo się tym wychowawcem zajmowała.—Państwo też zapewne tę świętą po niej przejęliście spuściznę. Dla czegoż tak znikł... co się z nim stało? czy co zawinił?

W prezesie widocznie wrzał gniew co raz do stłumienia trudniejszy.

— Mój profesorze — odezwał się tonem pańskim i imponującym — nie pytaj mnie proszę i nie przywódź przykrych wspomnień. Chłopak nie wiele zasługiwał na tę opiekę, jaką mu dano... Zbrodni nie popełnił. lecz rad jestem, żeśmy się go pozbyli. — Jest to zwykły tryb rzeczy ludzkich. że się za dobrodziejstwa odbiera w zapłacie najczarniejszą niewdzięczność.

To mówiąc prezes wstał, wyprostował się dumnie, otarł czoło. oczyma powiódł po sali. skierował je na zdumionego profesora i już odchodząc zwrócił się jeszcze...

— Czybyś pan co o nim wiedział? spytał przystępując do niego.

Kudelka miał w życiu za zasadę. nawet gdy szło o rzeczy najdrobniejsze na pozór. nigdy nie kłamać. Dla niego było to zadaniem godności człowieka i sumienia.—Pomyślał nieco.

— Właśnie dla tego, że o jego przeszłości nie wiedziałem, chciałem pana prezesa prosić o objaśnienie.

Zadowolniony tą odpowiedzią, nie biorąc ściśle wyrazu—o przeszłości—prezes się oddalił. widocznie mocno wzruszony.

Doktorowa, która z drugiego pokoju czatowała na koniec rozmowy, usiłując ją odgadnąć z twarzy i ruchów dwóch tych panów—wysunęła się zaraz i. nim Kudelka miał czas zabrawszy z kanapy swój kapelusz i umieściwszy go na piersiach, wysliznąć się z salonu. przyszła pospiesznie do niego.

— Mówiłeś co z prezesem o nim? zapytała żywo.

— A jakże—odparł stary.

— Cóż ci odpowiedział?

— Dał mi do zrozumienia, że mu tamten coś zawinić musiał—niewdzięcznością...

— Twój upór czy stałość—przezwała doktorowa—dowodzi mi, że pytanie prostą ciekawością nie było... Jeżeli co o nim wiesz, mam ci jedną przyjacielską radę do dania. Nie mieszaj się do tego.

— Ja się nigdy w cudze sprawy nie mieszam—spokojnie rzekł Kudelka — i kłaniając się myślał odchodzić.

Doktorowa zastąpiła mu drogę.

— Nie ustąpię—kochany profesorze, musisz do mnie jutro przyjść na obiad. . koniecznie.

Zamyslił się stary—chwyciła go za rękę spoczywającą na kapeluszu.

— Jutro, o godzinie drugiej... koniecznie.

Profesor się skłonił milczący... doktorowa ustąpiła zwolna, a on oglądając się do koła... powoli wysunął się za drzwi.

Niespokojny wzrok prezesa stojącego w głębi sali poszedł za nim i ramiona poruszyły mu się gwał-

townie. Widocznie potrzebował na uboczn stojąc przyjsć do siebie, tak go niezręczne wspomnienie staruszka ubodło i dotknęło.

*

*

*

W bliskości kościoła Świętego.... w kamienicze do niego należącej żył od lat bardzo wielu, dawniej prałat kapituły, dziś emeryt, który się od wszystkiego usunął i wyczekiwał tylko, kiedy go Pan Bóg do siebie powoła. Była to niegdyś jedna z najjaśniejszych gwiazd duchowieństwa — mąż głębokiej wiary, nauki wielkiej. charakteru energicznego, prawości nieposzlakowanej, obyczajów nieskazitelnych... Sławny. ukochany, wywierający wpływ potężny na wszystkie społeczeństwa klasy. prawdziwy kapłan Boży i apostoł ksiądz Jeremi Zaklika zszedł z czasem, postarawszy, na zapomnianą zupełnie istotę biedną. osamotnioną, o której nikt nigdy nie wspomniał, a gdy się jego imię w rozmowie o czasach przeszłych trafiło, byli ludzie, którzy zapytywali—czyż on jeszcze żyje? i z podziwieniem dowiadawali się. że dotąd nie umarł.

Ubolewamy nieraz nad losem zawczasie umarłych, lecz jakże często należałoby się uzalać nad tymi, co żyli za długo i mieli czas widzieć siebie i swą wielkość chwilową pogrzebaną za żywota!! Ksiądz Jeremi, jak prawy chrześcianin, wcale nie bolał nad swą dolą, a był już tak złamany chorobą i chwilami tak zdzieciniały. tak dziwaczny, że ludzie jego mało ro-

zumieli i on ludzi nie bardzo dobrze pojmował. Przychodziły nań chwile zupełnej niepamięci — zapominania się, apatji — a czasem. czasem znowu. gdy go coś, czy człowiek czy pora, słońce czy zdrowie orzeźwiło, stawał się młodym. rzeźwym, dowcipnym i niezmordowanym gadulą. Były dni. że się potem od niego słowa dopytać stawało niepodobieństwem.

Nie wiele osób go teraz odwiedzało. Ludzie o tych, co się im nie przypominają. zapominają łatwo. — Prałat się na to nie uskarżał, lubił samotność i swój cichy kątek. Paweł. sługa jego od dzieciństwa, mało co od niego młodszy — pilnował go jak dziecka. bo ks. Jeremi z trudnością mógł bez pomocy przejść przez pokój i cały dzień w wielkim fotelu przesiadywać musiał. Odmawiał jednak regularnie swój brewiarz, a w pewne godziny przychodzącemu klerykowi kazał sobie czytywać św. Augustyna lub św. Bernarda.

W święta czasem i w niedziele ktoś go z dawnych znajomych odwiedził.

Całe mieszkanie ks. Jeremiego składało się z dwóch pokoiów, sypialni i izby dla Pawła. W lecie miał przy tem ogródka kawałek, gdzie w cieniu upały przesiadywał...

Za życia pani prezesowej Wa... prałat bywał często w tym domu, szanowała go wielce sama pani, i w chwili zgonu jeszcze, choć już był chory i z trudnością mu się z miejsca przychodziło ruszyć, wezwała go koniecznie do ostatniej jeneralnej spowiedzi z całego życia. Ksiądz Jeremi kazał się dwom ludziom do wozu wsadzić, pojechał, dopełnił obowiązku a po po-

wrocie jeszcze mocniej zachorowawszy. już odtąd wcale wychodzić nie mógł.

Te stosunki z domem Wa.. obowiązywały i syna do odwiedzania czasem prałata, lecz ludzie ntrzymywali, że prezes go nie lubił. Po czym się tego domyślali, nie wiadomo, gdyż powierzchownie żadnej oznaki innej, prócz najwyższego szacunku dostrzedz nie było można...

Od śmierci prezesowej kilka już lat upływało... starzec miał się co raz gorzej... dni zupełnego opadnięcia z sił częstsze teraz bywały a stan ten widocznie prezesa niepokoił. bo się niemal co tydzień o prałata dowiadywał.

Nieszczęściem prawie zawsze tak trafił, że starszek mówić z nim nie mógł, a nawet nie było pewności, że go poznawał.

Nazajutrz po wieczorze, na którym się profesor znajdował, chociaż niedawno prezes odwiedzał ks. Jeremiego... o zwykłej godzinie dwunastej zapukano do pierwszych drzwi. Paweł wyjrzawszy przez okienko—zdziwił się mocno, zobaczywszy znown znaną sobie, a bodaj nie bardzo miłą, twarz prezesa. — Lecz że wszyscy dostojnego pana szanowali i chybić mu na żaden sposób nie było podobna. Paweł choć syknął, drzwi zwolna otworzył. — Prezes wszedł po cichu do przedpokoju.

— A cóż ks. prałat? spytał.

Paweł głową tylko pokiwał.

— Cóż? rzekł stłumionym głosem — jak zwykle... siedzi w foteln i drzemie.

— Czy dziś nie był przytomniejszy?

— Zrana niby ożywił się był trochę — mówił służący. ale już od dwóch godzin po brewiarzu... siedzi tylko nieruchomy na krześle.

Prezes się chwilę zawahał, spojrział na Pawła, którego mina widocznie była odradzającą — i pomyślawszy trochę. na palcach do pokoju się wśliznął.

Izba była obszerna. staroświecka, sklepiona, ale wystawiona ku południowi, miała słońce, którego promienie weselszą ją czyniły nieco, niżby się o mroku wydała. — Umeblowanie było tak odwieczne jak gospodarz, kanapka włosieniem pokryta. także krzesła, stolik założony książkami, kilka półek zapyłonych. U stołu w ogromnym fotelu skórą wybitym i znać długo używanym siedział ks. Jeremi. Zdawa widać tylko było jego głowę na piersi spuszczoną, trochę włosów srebrnych i czarną na nich piuskę. która łysinę okrywała. Mocno przygarbiony. siedział z rękami złożonymi na piersiach. z oczyma zamkniętymi, z ustami pół otwartymi. nie wiadomo śpiąc, czy zadumany. Szelest go jednak rozbudził. Podniósł ostrożnie, wolno powieki i zobaczywszy prezesa natychmiast je znowu spuścił.

Gość postępował bardzo powoli ku fotelowi, tak że Paweł miał czas go wyprzedzić, znanym krokiem zbliżył się do swego pana i szepnął mu do ucha.

— Pan prezes...

Nic nie mówiąc, drżącą ręką prałat wskazał na krzesło, w rysach jego twarzy odmalowało się wrażenie jakiegoś bolesnego. Zamruczał coś zupełnie nie zrozumiałego.

Prezes usiadł...

Po krótkiej chwili oczy zbladłe ks. Jeremiego

odkryły się znowu, popatrzył na siedzącego i zamknął je... jakby zmęczony...

— Jakże zdrowie ks. prałata? zapytał prezes cicho.

Długo trzeba było oczekiwać na odpowiedź. na ostatek—dał się słyszeć szept niewyraźny.

— Jednakowo...

— Myślałem, że wiosenne powietrze odżywi cokolwiek...

Ks. Jeremi potrząsł głową...

— I dziś więc—rzekł wyczekawszy prezes ze smutną bardzo i zakłopotaną twarzą—trudno się nam będzie rozmówić dłużej... czego pragnąłem od dawna.

Całe oczy prałata otwarły się żywo i wlepiły jasne w mówiącego. jakby się dopiero przebudził. Zdawało się, że nczyinił wysiłek jakiś — ażeby więcej tej upragnionej prezesowi rozmowy nie zwłóczyć. Westchnął tylko...

— Mów acan dobrodziej... proszę mów... odezwał się nieco silniejszym głosem, podnosząc dotąd spuszczoną na piersi głowę,—proszę.—

Trochę niecierpliwości zdradzały ruchy starca; głowa mu się trzęsła... a jednak starał się ją na ramiouach utrzymać tak, aby gościowi wprost patrzeć w oczy.

— Tyle już czasu upłynęło od śmierci mojej nieboszczki matki — odezwał się prezes oglądając po pokojach i znać lękając, aby go sługa nie podsłuchiwał. —

— Zawszem pragnął od ks. prałata. który byłeś jej przyjacielem i powiernikiem, dowiedzieć się. czy mu jakiej swej ostatniej woli nie zleciła...

Staruszek przysłuchiwał się bardzo bacznie —

oczy mu się coraz więcej ożywiały. Odetchnął jakby go dusiło w piersiach, parę razy dłonią suchą uderzył po krześle poręczy...

— Świętej pamięci prezesowa—rzekł powoli—nie potrzebowała mi żadnej swej woli zlecać. Miała Waćpana jako jedynego syna. Zresztą do duchownego sumienie tylko należy...

Prałat rzadko mówił tak wiele i tak żywo, prezes więc chciał znać korzystać z chwili rozbudzenia.

— Przepraszam najmocniej ks. prałata, że tak dokuczliwy — rzekł — czczę pamięć mojej matki i dla tego...

Prałat kilka razy mocno uderzył w poręcz krzesła.

— Jesteśmy sami—dodał prezes. zbliżając się wstawszy z siedzenia — między nami Bóg jeden tylko — mówmy otwarcie.

Głos zadrżał prezesowi.

— Kochana matka moja — mówił dalej — w chwili zgonu i na jakiś czas przed nim nie zupełnie była przytomną. Choroba czyniła ją drażliwą... przywidywały się jej różne, niebywałe rzeczy... marzenia chorobliwe. Ztąd obawa. aby, nie będąc panią wszystkich władz swoich...

Prałat nie dał dokończyć prezesowi. głowę podrzucił gwałtownie do góry, ręce załamał i nogą w stoleczek tupnął.

— Ale co mi to asindziej mówisz—ozwał się piskliwym od wysiłku głosem — co mówisz na tę zaciętą matkę swoją. to fałsz! to fałsz!

I rękami jakby odpychając potwarz począł rzucać gorączkowo. Prezes nagle zamilkł... cofnął się

i usiadł na swem krześle zamysłony. Rozmowa zupełnie zły obrót wzięła.

— Daruje mi ks. pralat... tu idzie o drogą pamięć matki. która sama sobie w tym stanie krzywdę uczynić mogła. Byłem przy niej ciągle w ostatnich latach. mogłem sądzić najlepiej o stanie jej umysłu... Cierpiała gwałtowne bardzo migreny... z tego powodu...

— Mój prezesie, ręce składając jak do modlitwy. począł pralat cicho zuowu — nie mów mi o tem — proszę.

— Muszę ten raz jeden mówić i rozmówić się stanowczo — rzekł energicznie przybyły. Mam powody mniemać, iż matka moja dla tego tylko wzywała Wacpiana dobrodzieja, ażeby mu powierzyć jakąś niby tajemnicę — rzecz czysto wyimaginowaną, i uczynić go wykonawcą swej woli. która nas moralnie i materialnie krzywdzić może. Dla tego...

Nowe machanie rękami przerwało mowę; pralat opuścił głowę, niespokojnie poruszył się w krześle i widać było łzę, która mu z pod powiek pociekła.

Była chwila milczenia dosyć długa i dla obu przykra...

— Dosyć tego—zakończył ks. Jeremi—mylisz się, panie prezesie... Oczy syna czytają w duszy matki, lecz oczy kapłana w chwili zgonu widzą głębią duszy człowieka i nie myślą się i omylić się nie mogą. Dosyć tego...

Zamilkł. jakby chcąc w piersi zmęczonej nabrać powietrza trochę.

— Szanujcie pamięć i wolę rodziców—dodał—resztę zostawcie Bogu.

Zamknął oczy — i ze znużenia położył głowę na krześle. dając ręką znak prezesowi. ażeby sobie odszedł.

Prezes z zaciętymi ustami, widocznie gniewny. z brwią namarszczoną, wstał. wyprostował się, zbliżył do ręki księdza, chcąc ją pocałować, ale prałat żywo ją usunął... skłonił głowę i zamknął oczy. Gość z gniewną twarzą odwrócił się i cicho wymknął z pokoju.

Po wyjściu jego ks. Jeremi wyszedł z apatii. która zdawała się jego stanem normalnym. ruszył się żywo na krześle i niecierpliwie zaczął szukać dzwonka, stojącego zawsze pod ręką. Znalazłszy go wreszcie. z konwulsyjną gwałtownością dzwonił, dopóki nareszcie Paweł. który był wyszedł na galerję od dziedzińca, usłyszawszy dzwonienie, nie wpadł zaperzony... Spojrzał na prałata, na którego twarz wystąpił niezwykły rumieniec i. załamując ręce, przypadł ku niemu.

— Co takiego? co Jegomości jest?

Ksiądz Jeremi osunął się na fotel bezsilny i zrazu odpowiedzieć nie mógł. Po chwili jakby sam do siebie począł niewyraźnie.

— Blisko dziewięćdziesięciu! tak! nie ma co czekać. Ostatnia godzina przyjsć może -jako złodziej. Grzechy był.. tak...

— Co jegomości jest? dobijał się Paweł.

— Ale nie. nie — oprzytomniając zawołał ks. Jeremi. Gdzieżeś ty się podział?

Sługa zmilczał.

— Słuchaj. idź mi... zaraz, zaraz sprowadź do mnie...

Tu zatrzymał się długo. nie był znać pewnym. kogo żądał czy mu nazwisko wyszło z pamięci. Usta się poruszały a ręka zdawała przeczyść ruchami temu, co one miały powiedzieć.

— Poproś do mnie... poproś.

— Kogo? zapytał Paweł.

— Kogo? kogo? proś... pocziwego jakiego, najpocziwszego... zacnego... proś mi takiego kogoś, coby nie zdradził.

Paweł popatrzył na swojego pana. Wyrazy te widocznie pralat wymówił nie już z braku pamięci lub zastanowienia, lecz chciał znać zdać się jakby na los ślepy na rozsądek Pawła, przez któryby przemówił doń głos ogółu. nie chcąc sam czynić wyboru.

— Najpocziwszego — powtórzył sługa — to chyba księdza Strużkę.

Nastąpiło długie milczenie—pralat się zadumał.

— Tak. najpocziwszy jest. ale najślabszy z ludzi - dodał szybko. Poproś więc księdza Strużkę.

— Zaraz? czy zaraz?

— Natychmiast — rzekł głosem drżącym pralat. — Któż wie. ja dziś jeszcze potem wzruszeniu umrzeć mogę... Idź... proś go.

Paweł zawinął się i wybiegł z pokoju.

Ksiądz kanonik Strużka mieszkał w tym samym domu. który dawał przytułek kilku duchownym. Mieszkanie jego było na dole. O kilkanaście dobrych lat młodszy od ks. Jeremiego, był to stary jego przyjaciel i najtroskliwszy opiekun. Lecz serce tylko miał stworzone. by być opiekunem, mniej zresztą praktycznego człowieka świat nie widział. — Żył cały w idealnych sferach. w książkach i uczynkach miłosierdzia..

sam wszakże potrzebował nadzoru, by co godzina nie stanąć w jakiejś kolizji z tem, co go otaczało.— Roztargniony do najwyższego stopnia, żywy, gorączka... szedł za popędami serca najpiękniejszego, i idąc—padał nieborak po gościńcach, tłukł się, bolał, znosił potwarze, śmiał się z własnych cierpień i omyłek, a nazajutrz się na nie narażał. Już sama powierzchowność ks. Strużki oznajmywała ekscentryka. Ubiór nosił w najwyższym stopniu zaniedbany i wcale niewytworny, rzadko kiedy suknię miał całą a włosy uporządkowane, prawie zawsze buty dziurawe. Ubodzy, nielitościwie go szukający, zabierali mu grosz ostatni — pożyczął na wszystkie stroiny, sprzedawał, co miał, a żadnego biedaka ode drzwi nie odepchnął. Wyzyskiwano go nielitościwie—śmiał się z tego.

Prostoduszny i łatwowierny zawsze się oszukiwać dawał, bo nigdy w człowieku kłamcy nie chciał przypuścić.—

Wszelka piękna, wzniosła idea zapalała go i unosiła, tak że często nie widząc stron jej ujemnych lub utopijnych, zapędzał się nazbyt daleko.—Szlachetniejszej duszy znaleźć było trudno — lecz mniej do przeprowadzenia zadania zawiązanego stworzonej.

Paweł wpadł na dół z wielkim trzaskiem do ks. Strużki, który właśnie otoczony książkami porożrzucanemi po całej swej ubogiej izbie pracował z wielkim zapalem nad jakąś refutacją wznowionych pogańskich błędów. Był tak zatopiony w poszukiwaniach i myślach, że nie słyszał ani trzasku drzwi ani *Laudetur* głośnego, którem go Paweł pozdrowił. Musiał go za rękaw pociągnąć sługa prałata.

To go przestraszyło. Spojrzawszy na twarz Pawła—krzyknął — Co się stało?

— Nic jeszcze, chwała Bogu, nie stało się — odparł Paweł. ale ks. prałat bardzo, bardzo pilno prosi do siebie...

— Chory?

— Nie—ale czegoś podrażniony!

Przeskakując przez książki na podłodze rozłożone ks. Strużka porwał się biedz natychmiast. W progu przypominał sobie niezbędną już w tej chwili chustkę, od nosa. po którą biegać musiał. sznając jej i rozrzucając wszystko, bo była pod wielkim jakimś foliautem przyciśnięta... Wyszli nareszcie a Paweł sam już drzwi zamknął, bo gospodarz o tem nie pomyślał...

Przez ten czas prałat trochę ochłonął, siedział spokojniejszy lecz zawsze jeszcze odżywiony i już z drzemki swej rozbudzony zupełnie.

— Cóż to się stało? co za szczęście — zawołał od progu wchodzący. żeś ks. prałat mógł mnie zapotrzebować?

— Siadaj no — siadaj. uspokój się — odparł chory starzec—rzecz istotnie największej wagi, ale ty. mój księże kanoniku, co więcej obieniesz z aniołami niż z ludźmi, bodaj czy mi możesz być w tem nżytecznym... Zawsze przynajmniej poradzić potrafisz...

Ks. Strużka przysnął się z krzesłem. —

— Powoli mówić muszę. ciągnął dalej prałat. oddechu mi braknie, lecz zwolna ci wypowiem wszystko. Daj mi radę.

Na serce twojemby się spuścił, na głowę nie mo-

gę. Świętym jesteś człowiekiem a tu garnek ludzki potrzeba... a—nie święci garuki lepią...

Westchnął.—Słuchaj tylko.—Jestem stary. czuję, że lada chwila przyjść może wyzwolenie... wybije godzina ostatnia. Nie chcę z sobą nieść na tamten świat brzemienia niespełnionego obowiązku...

W szczególnych okolicznościach osoba pewna umierająca powierzyła mi sprawę bardzo delikatną... Nie mogłem woli jej zadosyć uczynić... a zapewne już sam nie zdołam... Z ludźmi zerwałem. znam ich nie wielu. wyboru uczynić nie potrafię. a obowiązek mój na kogoś pocziwego, nie roztargnionego jak ty—chłodniejszego od ciebie—zdać muszę...

Ks. Strużka zadumał się.

— To prawda, rzekł. że jeśli oprócz uczciwości potrzeba więcej czegoś, na przykład przebiegłości. cierpliwości—pomiarkowania—ja tego nie mam.—Jestem impetyk niepoprawny, choć co dzień Pana Boga proszę, aby mi dopomógł do wyleczenia się z tej choroby... natura odpędzona—powraca.

Prałat rozśmiał się z lekka...—A stary jesteś do-
dał.

— A zestarzeć na lepsze nie mogę, odezwał się ks. Strużka, coraz ze mnie roztrzepańsze pomiotło...

— Mój Boże, a gdyby nie ta gorączka asindzieja nikomubym nie powierzył ochotniej tego spadku... Lecz słuchaj. kanoniku—słuchaj—*sub sugillo* ci to powierzyć mogę. Jeśli uznasz, że podjąć się sumienie możesz—umrę spokojny; jeśli nie, ty mi człowieka wyszukaj...

— Mnie te ludziska codzień oszukują! westchnął

Z życia awanturnika. T. I.

ks. Strużka... a! bo to słabizny są... a biedota... Co oni temu winni...

Zamilkli na chwilę.—

Więc cóż? zapytał kanonik...

— Naprzód idź i Pawła, który czasem ma niepotrzebną słabość przykładania ucha do drzwi... odpraw na galerję—drzwi zamknij i—powracaj tu.

Kanonik ze zwykłą swą żywością pobiegł spełnić polecenie. powrócił i zasiadł...

— Lat temu kilka, odezwał się zwolna ks. Jeremi... choć chory już, wezwany zostałem in articulo mortis. przez jedną osobę, której ci jeszcze wymieniać nie potrzebuję... Była to dostojna pani. szanowana powszechnie.—Nie domyślaj się—ale słuchaj.—Pani ta potrzebowała pod zaklęciem i przysięgą powierzyć papiery i fundusze. które przeznaczała dla dziecięcia... którego uznać wcześniej nie mogła a skrzywdzić nie chciała...

Rodzina jej była tak przeciwną powtórnemu zamążpójściu, że ono zostało tajemnicą na zawsze.—Uległa biedna niewiasta naleganiu ludzi próżnych i sumienie dumie swej poświęcić gotowych, lecz w godzinie zgoun—przyszła skrucza...

Za cóż dziecię cierpieć miało? Biedna niewiasta powierzyła mi dowody swojego powtórnego zameżcia. metrykę dziecięcia i fundusz mu przeznaczony. Miałem zleconem wynaleść tego chłopaka a dziś już mężczynę i na jego ręce złożyć mój depozyt...

Odetchnął prałat.—Tymczasem zginął mi ów poszukiwany... jam niedołączny, szukałem go na wszystkie strony i znaleźć dotąd nie mogłem. Utrudniała to familia nieboszczki, która się czegoś domyślała i

chciała przeszkodzić... chciała nawet papiery odemnie uzyskać.

— Aleś ich nie dał przerwał ks. Strużka...

— Nawet dobrze o nich nie wiedzą — mówił dalej prałat. — Na mnie lada godzina śmierć przyjść może... nuż te papiery i pieniądze... zawieruszają się, przepadną!

— To prawda... to prawda — począł zamyślony kanonik, który już na krześle usiedzieć nie mogąc, chodził założywszy ręce na krzyże — ale, mój księże prałacie, byłbym człowiekiem bez sumienia, gdybym się podjął sprawy, którą popsuć tylko mogę... Delikatny interes na moje niedźwiedzie łapy... Mniej więcej wyrozumiałem, o co idzie, czego potrzeba—to nie moja rzecz...

— Ale nuż na mnie nieszczęście...?

— Mamy ludzi uczciwych przecie—a nie koniecznie duchownego potrzeba, mówił ks. Strużka—ja pomyślę nad człowiekiem...

Prałat stęknął.

— Mówisz: pomyślę — ale czasu do stracenia nie ma—począł błagając. — Idź, weź kapelusz... ruszaj na miasto, wybierz kogoś. za kogobyś mógł ręczyć, niech ja z rąk zdam.—Spokojniejszy będę.. Czuję się nie dobrze...

— Ależ ks. prałat dziś daleko jesteś lepiej niż zwykle... tyle siły, tyle życia...

Prałat rozśmiał się.

— Czyż nie widzisz, że ja to dobywam z siebie...

Ks. Strużka chodził i tarł głowę.

— A no! a no! uspokój się księże prałacie — rzekł przystępując do niego — ja potrzebuję czasu naj-

mniej do jutra. — Rzecz ważna. lekko jej brać nie można...

— Weźże przynajmniej depozyt odemnie, bo strach jakiś mnie ogarnia...

— Ja? depozyt? a toby dobrze było! zawołał kanonik. kiedy ja nigdy nie wiem, gdzie co kładnę i żadnego zamka całego nie ma u mnie w domu!! Jutro go przecież oddacie.

— Więc—jutro—jutro—rano... jak najwcześniej—rzekł prałat uspokojony. a teraz mój dobry kanoniku. otwórz Pawłowi... i — dozwól mi spocząć; czuję. żem się wysilił nadzwyczajnie.

To mówiąc ks. Jeremi spuścił głowę, pochylił się na krzesło, oczy przymknął i zdawał jakby uśpiony.

Ks. Strużka wybiegł po Pawła i spuścił się po wschodach do swojego mieszkania.

Cały opanowany poleceniem mu danem, jeszcze jedną chustkę wpakowawszy do kieszeni. bo dbał o to bardzo, żeby jej czasem nie zapomnieć. popędził do miasta szukać ucziwego i czynnego człowieka.

Tymczasem Paweł. ponieważ obiadowa nadeszła godzina, stoliczek przyniósł do fotelu prałata i. nie rozbudzając go. począł do stołu nakrywać. Na dole w kuchence gotowano mu zwykle rosół i przyprawiano kotlet. który z pieczonem jabłkiem stanowił cały obiad ks. Jeremiego. —Gdy przyniesiona wazka brzęknęła. prałat się rozbudził, drżącą ręką wziął łyżkę, zaczął w milczeniu obiad i Paweł ucieszył się bardzo. widząc, że mu zmęczenie apetytu nie odebrało. Czego od dawna nie bywało, kazał sobie ks. prałat przynieść kieliszeczek starego wina. który po jedzeniu wypił.—Ku wieczorowi Paweł przyszedł z kawą jak zwyczajnie;

po odmówieniu pacierzy prałat kazał się odprowadzić do łóżka.

Paweł zaczynał dopiero życie, gdy swego starego w łóżku złożył. Tak się i tego dnia stało.

Nazajutrz rano o godzinie do wstania przeznaczonej—Paweł przesunął się do łóżka chrząkając. Na ten znak zwykły był prałat się budzić i żegnać. Tym razem jednak zasnął znać za twardo i Paweł odchrząknął raz i drugi napróżno... Ośmielił się nawet przybliżyć do śpiącego i znalazł twarz nadzwyczaj bladą. Z lekka go ujął za rękę — wydała mu się nadto chłodną...

Ks. prałat—nie żył..

Biedny Paweł wybiegł przerażony na dół do ks. Strużki.

— Księżę kanoniku... mój dobry pan—mój złoty—mój drogi prałat...

Strużka stanął oniemiały.

— Ks. prałat nie żyje.

— To nie może być — krzyknął biegnąc kanonik—to być nie może.

Chłopca posłano po lekarza... obadwa wbiegli na górę.—Prałat jakby uśpiony, nśmiechnięty, z wyrazem łagodnym na twarzy—zimny już był i nie dawał życia znaku.

Wkrótce z sąsiedztwa wezwany lekarz nadbiegł także. — Obejrzenie ciała przekonało. iż śmierć około północy jeszcze nastąpić musiała od silnego uderzenia krwi do głowy.

Można sobie wystawić rozpacz ks. Strużki. który wczoraj przyjęcia depozytu odmówił. Zostawała wprawdzie słaba nadzieja. iż się o niego u spadkobierców

dopomnieć będzie można... ale ks. Stróżka właściwie sam nie wiedział. czego od nich miał żądać a świadków nie mógł żadnych postawić na to, iż istotnie depozyt mu był przeznaczonym.

Tegoż dnia ciało wyniesione zostało a pokoje, papiery i wszelka ruchomość opieczętowana. Ks. Jeremi jedynym po sobie spadkobiercą miał młodszego brata, właściciela małej wioseczki w Galicji, któremu natychmiast znać dano. Był to dymisjonowany oficer z 1831, wielki, jak mówiono, dziwak i skąpiec, stary kawaler, żyjący w okolicy Krakowa.

Stare panny i starzy kawalerowie są godnemi politowania ofiarami. nad którymi znęca się język złośliwy i pióro niemiłosierne; społeczeństwo nie może im tego darować, że jak puste kłosa stoją nad niwą, wyzwolewszy się z obowiązków i jakby odrębne pasożytne stanowiąc bractwo. Jednakże, wśród tego światowego zakonu, wyśmiewanego powszechnie, ile się kryje zapomnianych boleści, cudzych win, za które cierpią milczące ofiary, i żywotów skromnych, pożytecznych a nieszczęśliwych... Nielitościwsza nad wszystkich statystyka wykazuje zresztą, iż tych zamarłych ziarn zawsze pełna ilość w danych warunkach znajdować się musi. — Winnibyśmy im raczej wielkie współczucie niż szyderskie potępienie. Szczególniej na wyrozumiałość, o którą się dla nich dopraszamy, zasługiwał czcigodny profesor Kudełka. króregośmy widzieli na rannej ekskursji tak osobliwszą sobie wynajdującego roślinę...

Przeszło ośmdziesiątletni a rzeźwy i żywy profesor oprócz małej pensyjki. którą pobierał, nie chcąc się uwolnić od obowiązków. boby mu niezajęte życie

zacieżyło — nie miał wcale nic. Żył wszakże ubogo i skromnie. nałogów żadnych nie miał. dla siebie mało bardzo potrzebował — a mimo to na groszu mu zawsze zbywało. Przyczyną tego była i wielka jego dla ubogich uczynność i nieszczęśliwa namiętność jedna, niewinna ale zgubna. Jak wielu nieopatrnych ludzi. którzy sądzą. że nic złego nie czynią. kupując sobie kilka ładnych i miłych książek — profesor zaczął od niezbędnych swemu powołaniu klasycznych dzieł; przypadek nastreczył mu nabycie paru rzadkości bibliograficznych — potem uzbierana garstka domagała się jakiegoś systematycznego dopełnienia, potem książkę mu ktoś jedną darował. druga sama przyszła. Złożyła się z tego biblioteczka, a co gorzej, urosła z niej i przy niej prawdziwa namiętność. Nauki przyrodzone przywiodły za sobą kosztowne monografie. dzieła z rycinami; zachciało się zbierać zieluik... ani się opatrzył profesor Kudelka, jak dwa pokoje zarosły mu książkami od góry do dołu. Potem książki zaczęły się cisnąć na krzesła, na kanapy. stanęły na kominie, wypędziły piec. wlażyły pod stół. zasypały podłogę i — trzeba było jednego poranku przynająć pokój, bo już ani spać ani jeść nie było gdzie.

Namiętność też rosła... Od pięknych wydań do osobliwości bibliograficznych i inkunabułów krok tylko... do zakochania się w szerokich marginesach, paraginowych egzemplarzach, oryginalnych oprawach, unikatach. białych krukach i teratologii bibliograficznej — Profesor Kudelka dał się pochwycić w szpony nielitościwej tej namiętności zbieracza; biblioteka zajęła mu dwa i trzy pokoje. naostatek cztery. nie dała tchnąć, uczyniła go niewolnikiem gospodarza domu,

który mu co rok groził wypowiedzeniem mieszkania a podwyższał najem drugiego piąterka, które już teraz całe nieszczęśliwy zajmował.

Sam profesor wyniósł się ze swem małym łóżeczkiem na tył do biednej, ciemnej i wilgotnej izdebki, w której książki żyćby nie mogły, boby je tam wilgoć zjadła. W tej ciupce spał, jadł — chował swe rzeczy, reszta mieszkania od dołu do góry, nawet w pośrodku zajęta była szafami i foliantami.

Profesor był zarazem najszcześliwszym i najnieszczęśliwszym z ludzi — cieszył się wprawdzie zdobytymi najdziwniej egzemplarzami takich rzadkości, jakich niektóre królewskie nie posiadają biblioteki — lecz ileż strachu, trwóg i boleści... na wypadek pożaru — jaka obawa od złodziejów, jakie męczarnie z ludźmi, co pożyczają książkę, ażeby ją, nie czytając, rok trzymać rzuconą gdzieś w kącie!!...

Oprócz tego mała pensyjka profesora i oszczędności wszelkie szły całe na tę bibliotekę, której kompletowanie stało się jego życia celem. Nigdy mu nawet na myśl nie przyszło, że nie mając dzieci nie będzie miał tego skarbu komu zostawić i że to po jego zgonie, zarejestrowane porządnie, pójdzie pod młotek rozpierzchnąć się po szerokim Bożym świecie.

Gdy nie miał lekcji, gdy nie pozwalała pora na wycieczki — profesor zamykał się ze swemi książkami i gospodarował. — Opatrzony szczotką, sciereczką i piórkiem, opylał, ocierał, ustawiał, wietrzył, przeglądał, uśmiechał się — czytał.

Na tem miłym zajęciu schodziły mu długie godziny. Naówczas zapominał o całym świecie, o życiu, o jego nędzach, o głodzie i chłodzie a ciemność dopiero

lub dzwonek u drzwi przerywały to rozkoszne plondrowanie.

Znający już jego słabość antykwariusze nadsyłali mu ze wszystkich świata krańców katalogi... następowało odczytywanie ich zajmujące jak najpiękniejszy, romans sensacyjny, sprawdzanie ze spisami własnymi potem walki z wielką pokusą a chudym woreczkiem, liczenie się z kasą a częstokroć posty o mleku, bulce i kawie dla kupienia jakiego Alda lub Elzevira.

To zajęcie na pozór tak suche nie wystudziło mu duszy — owszem zdawało się go odmładzać i ożywiać. Zapalał się do niewidzianych ksiązek jak do wymarzonych kochanek. A jakże często nieuchronną rzeczy ludzkich koleją po nadziejach najświetniejszych smutne następowały rozczarowania. Egzemplarz ów, który w katalogu stał opisany jako wspaniały i cudownie zachowany a tylko odrobinę w końcu plamisty, przychodził żółty, brudny i zatłuszczony nielitosciwie. Inny, co miał mieć tylko małą skazę na czole, niezatartą nosił bliznę...

Uratowawszy wisielca, profesor zajął się mocno jego losem — lecz na nieszczęście świeżo był kupił najniepotrzebniejszą mu ale przepysznie zachowaną kronikę świata frankfurtską z rysunkami Wolgemutha... poszły na nią ostatnie talary.

Potrzeba było odziać nieszczęśliwego... to się jeszcze dało na kredyt zrobić; potem należało go gdzie umieścić. — W bibliotece ani miejsca ani możności nie było, w owej ciemnej izdebce miejsca na dwóch nie starczyło... Puścić go samego w świat wydawało się niebezpiecznem... Profesor był w nie małym kłopotcie, lecz nawykł tak wierzyć w Opatrzność, która go

nieraz w cudowny sposób wyrwała z najcięższych zawikłań, że mając kilkanaście godzin do wieczora nie wątpił, iż one starczą na wydźwignięcie go z tej biedy. Z wielką ostrożnością, aby tego przybysza w domu nie wyszpiewowano, wprowadził go profesor na górę... Tu heroicznie zainstalował go w owej ciemnej ciupce.

— Mój panie — rzekł wprowadzając go — to moje całe mieszkanie. — Nie osobliwsze — nie... to prawda... ale — cóż robić — mam tam kilka pokoiów, zajętych książkami a tam nie ma miejsca i dla myszy nie tylko dla człowieka. Tymczasem sobie zajmijcie moje łóżko i ten kątek a ja do wieczora coś obmyślę.

Murmiński obejrzał się, nie mówiąc słowa.

— To całe wasze mieszkanie, panie profesorze? zapytał.

— Ale, gdzież zaś — ofuknął Kndelka — mam kilka pokoiów, ale tam przecież książki trzeba było pomieścić, bo one więcej słońca i powietrza i lokalu dobrego potrzebują niż człowiek. Połóż się sobie, kiedy chcesz na łóżku, mogę ci nawet dać jaką piękną książkę, ażeby ci się nie nudziło. Odpoczywaj, a ja pobiegnę szukać... mieszkania, no i na zwiady, coby ci znaleźć, żeby cię z życiem pogodzić.

Murmiński odmówił pięknej książki, przyrzekł odpoczywać posłuszny a profesor poszedł na zwiady. — Szczęściem w korytarzu zaraz spotkał służącą i od niej się dowiedział, że na trzecim piętrze była pusta izdebka do najęcia. Natychmiast się na wschody wdrapał, opatrzył, kazał najać łóżko i trochę sprzętu; postarał się, by to mieszkanko wyporzadzono i, oznajmivszy gospodarzowi, że bierze pokój dla krewnego który do niego przybył na czas jakiś — wydobył Mur-

mińskiego z ciemności, zainstalował na trzecim piętrze, wziął słowo, że się na siebie nie targnie, i poszedł do miasta.

Miał teraz mnóstwo potrzeb i interesów niespodzianych — nie mógł się obejść bez pożyczenia pieniędzy. chciał się czegoś o swoim protegowanym i jego losach dowiedzieć. musiał mu naostatek zajęcie jakies wyszukać, bo go całkiem na swe barki wziąć nie miał siły... W kilka tygodni byliby musieli żyć bułkami i mlekiem.

Od Murmińskiego w pierwszych chwilach, badając go najpilniej. nie wiele mógł wydobyć — nie chętnie mówił o przeszłości, nie wypadało też go zatruwać ciągłemi jej przypomnieniami.

Profesora Kudelkę lubili wszyscy — rozmawiano z nim chętnie, lecz los mu nastroczał jak na złość takich ludzi, od których nic się dowiedzieć nie było podobna. Idąc po różnych wskazówkach. udał się na ów wieczór smutny do prezesa, gdzie tyle wycierpiał z przyczyny nieposłusznego ubrania i owych butów *a u n a t u r e l*.

Zaproszenie nazajutrz na obiad do doktorowej-hrabinej wielce mu było na rękę.

Murmiński spędził noc bardzo dobrze — spał jak kamień. Nazajutrz spożył śniadanie zamówione a na usilne naleganie profesora, ażeby się czemś zajął dla odpędzenia złych myśli — poprosił o Shakespeara.

W bibliotece profesora było ich kilku... co najdziwniejsza, w jednej z podróży swych pieszych, w Holandji u niepozornego bukinisty w małym miasteczku Kudelka nabył za bezcen owe wydanie *in folio*, pierwsze i najdroższe, które w Anglji płaci się na wagę zło-

ta. Chciał się niem pochwalić a obawiał je powierzyć w ręce człowieka, który życia nie szanując, pewnieby i tej dramatycznej relikwi nie umiał cenić. Inni Shakespearowie pomniejsi równie dobrze usłużyć mogli... Poszli razem do biblioteki. Zdziwił się niezmiernie Kudełka. w tym człowieku tak płochym znajdując uczonego. który, choć był trochę zaplesniał, lecz wewnątrz nie zbutwiał. Znał Murmiński wiele ksiąg profesorowi nie znanych i prawil mu o cenach, jakie za nie płacono.

— A to ty byś mi wysmieniecie. póki do roboty nic nie ma, mógł katalogować. zawołał Kudełka... tylko... tylko... palisz do licha ten tytoń, a tu ognia wprowadzać nie można... Drzę na myśl samą. No — i nudził byś się zbytecznie — i mógłbyś mi jaki nowy system chcieć zaprowadzać... Nie — ale, kiedy tak — dostaniesz Shakespeara, jakich na stałym łądzie nie wielu...

Murmiński się uśmiechnął.

— Nie chcę go, rzekł — jestem roztargniony... dajcie mi najtańszego i najlichszego — wszystko mi jedno... byle nieśmiertelny William... Jest to geniusz co najlepiej człowieka i życie zrozumiał.. Ludzie mogą jeszcze tysiąc lat smarować po papierze... nic nie dadzą, nic nie zmyślą. czego w skarbnicy u starego Willa nie było...

Wzięli zatem Shakespeara dni powszednich i wyszli. Po drodze Murmiński popisał się jeszcze z różnemi wiadomościami, które sobie lekceważył jak wszystko czego dotykał... i rozstali się...

Profesor wczorajszy frak wdziać musiał, bo innego nie miał i ten mu się wydawał najwspanialszym,

lecz rebellizujące spodnie skazał na sznfladę. czarne, mniej okazałe a daleko posłuszniejsze... Obwinawszy szyję chustką białą, która czasy dyrektoria tu przypominała, opatrzywszy się w drugą do kieszeni — ruszył do pani doktorowej.

Doktorowa z domu hrabina.. była też osobą excentryczną, jakich mało.—

Panną. piękną. starannie wychowaną bardzo majątną będąc i ze znakomitego domu. wyszła za młodego człowieka ubogiego. którego ojciec żył jeszcze i służył za ekonoma... Straszliwe burze musiała przetrwać rodzina. którą to do rozpacz doprowadziło nim zgodziła się na to okrucieństwo. — Postawiwszy na swoim. była kilka lat szczęśliwą, mąż usprawiedliwił jej wybór, lecz oddany swemu powołaniu wprędce padł jej ofiarą. Tyfoidalna gorączka zabrała go. Dwa lata potem biedna wdowa przesiedziała zamkniętą...

Wyszła na świat złamana, zestarzała. zobojetniona na wszystko. i choć wielu doktorów i doktorantów zgłaszało się do jej ręki i do jej dwu folwarków, powiedziała. że za mąż nie pójdzie i nie poszła. Majątki puściła w dzierżawę, na lato w jednym z nich wymościwszy sobie dwór z ogrodem—najeła w mieście lokal wygodny i prowadziła życie swobodne — spokojne... nie wiele widując ludzi—a od napaści świata, języków i głupich konkurentów broniąc się tak dzielnie. iż w końcu nikt jej zaczepić nie śmiał. Była to — h i c m u l i e r ..

Nie wahała się prawdy powiedzieć, ani obyczajowi złemu sprzeciwić. ani postąpić po swej myśli choćby inni szli drogą przeciwną.

Nie lubiła świata, ale nie stroniła od niego. — Czytała wiele, a że książki i zajęcie rozmaitemi dobroczynnymi stowarzyszeniami nie starczyło dla zapelnienia czasu, niekiedy u siebie przyjmowała ludzi poważnych. Tylko gdy który zachęcony a uwiedziony jej poufałością zaczynał marzyć o konkurencji, wdowa mu dawała surową i stanowczą odpawę, by czasu nadaremnie nie tracił.

Śmiano się z niej, że niekiedy obdarła dzieci uliczne bułkami i ciastem zwabiała do siebie i sadzała gwałtem do elementarza, że miała protegowanych ubogich, którzy jej dobroci nadużywali, a których ona starała się powoli wdrażać do pracy... Miała i inne tego rodzaju fantazje... a w dodatku lubiła bardzo kwiaty...

W domu pani doktorowej zamożnie było. dostatnio ale nie pysznie... Zielono po pokojach od wazonów, książek dosyć. Salon z fortepianem, elegancji żadnej... Ci co tam na obiadach bywali skarżyli się, że stół był po prostej kucharce, zdrowy może ale bardzo nie wykwintny.

Profesor Kudełka tak rzadko tu bywał jak gdzie indziej. — Dla niego samo imie salonu miało w sobie coś przerażającego... Salon wymagał fraka. a profesor nienawidził tego ubrania i wszystkiego co idzie z niem. a co swobodę człowieka krępuje.

Wszedł więc w to państwo Flory dosyć zakłopotany, choć ubiór go już nie trwożył. W progu drugiego pokoju spotkała go doktorowa podając mu rękę, którą stary wedle dawnego obyczaju ucałował...

— Kochany mój profesorze, rzekła śmiejąc się — będziesz ze mną obiad jadł mój domowy. powszedni.

en tête à tête, do którego fraka brać nie potrzeba. Szkoda żem ci tego wczoraj nie powiedziała...

— A! szkoda! odparł naiwnie stary — bo prawdę rzekłszy, frak mi humor psuje... jestem w nim jak okradziony...

Śmiała się pani doktorowa.—No — stało się. rzekła — zapomnij o nim... Nie prosiłam nikogo, bo — bo chciałam cię objaśnić o tym Tadziu Murmińskim, o którym nie potrzeba było mówić prezesowi. A to jest rzecz — dodała, o której się tylko ponfałym powiada we cztery oczy...

Ale naprzód, profesorze. zkaż ci przyszło o nim myśleć i mówić—to nie bez powodu.

Stary zmieszał się...

— Znasz mnie. dodała. że plotkarką nie jestem... jeśli pytam to dla tego by ci być użyteczną... Juściż byś ty, stary. nie lubiący salonu i fraka... nie bywający na wieczorach. tak dla prostej ciekawości do prezesa nie szedł.

Kudelka począł trzeć łysinę. ale miczał.

— Cóż? tajemnica jaka?

— Coś. nakształt... szepnął nieśmiało...

— I nie powiesz mi?

— Powiem—rzekł po namysle stary.—Acani dobrodziejka możesz mi dać dobrą radę, a zaszkodzić biednemu człowiekowi nie zechcesz...

— Czekał że — przerwała gospodyni — do stołu dają... ludzie chodzą, po obiedzie się rozmówiemy...

Obiad był gospodarski, dla Kudelki nawykłego często z suchą bułką obcować i z mlekiem. w którym było więcej wody niż pożywnych części, rosół, sztuka

mięsa i pieczone wydały się ucztą Lukullusową. Jejmość nałapała mu własnoręcznie parę starego wina kieliszków.—staruszek odżył i rozgadał się.

Zaraz po wetach wyszli do gabinetu.

— Mówże mi asindziej naprzód, co wiesz o Murmińskim...

Profesor bardzo naiwnie, a nie bez humoru mu właściwego opowiedział historję swej porannej wycieczki i jak od stryczka wybawił nieszczęśliwego włoczegę...

Doktorowa słuchała z wielkiem zajęciem, bez wykrzykników niewieścich, lecz mocno wzruszona. Przeszła się potem parę razy po pokoju, jakby ochoty nie miała mówić.—Profesor czekał.

— Cóż z nim począć myślisz?—zapytała.

— Szukam dla niego zajęcia.

— Poznaj go wprzód lepiej—odezwwała się—człowiek, który doszedł do tego, że z rozpaczcy w młodym wieku na życie się targnął swoje — jest trudnym do ujęcia i pokierowania. — Musisz z nim być ostrożnym...

Ja tylko cię o przeszłości jego objaśnić mogę — dodała gospodyni. — Znałeś pewno nieboszczkę prezesową, była to osoba dobra, szanowna, ale wielce nieszczęśliwa. Ojciec teraźniejszego prezesa, człek zacny i uczciwy, był zarazem najnieznośniejszą pod słońcem istotą.

Miał napady gniewu, które mu odbierały przytomność, unosił się bez przyczyny. Siły nad sobą nie miał najmniejszej—pożycie z nim było nieustanną męczarnią. Gdy umarł, opłakiwała go wielce żona, lecz nawet wdowieństwo musiało jej być miłszem od tej

walki codziennej. w której męża uśmierzać, bronić, osłaniać trzeba było co chwila.

Znękana. z synkiem jednym zostawszy, prezesowa zajęła się pilno jego wychowaniem. Nastęrczono jej za guwenera do dziecka niejakiego Murmińskiego,—nie wiem prawdziwie, co się z nim stało. Znałam go. był to człowiek miły, utalentowany, łagodnego charakteru, a że już naówczas od lat dziesięciu wychowaniem się zajmował — doskonale rozumiał jak chłopca poprowadzić.

Nie umiem ci powiedzieć, o ile jest w tem prawdy — poczęła ciszej doktorowa. lecz ludzie zaczęli przebąkiwać. że się prezesowa w nim kocha. on w niej i t. p. Familja zaczynała być niespokojna... Drugiego roku pomimo różnych perswazji, rad i napomnień — prezesowa z synem i guwenerem wyjechała do Włoch na kilkanaście miesięcy... Uważano, że gdy powrócili. Murmiński na poufalszej stopie w domu był i prawie wszystkiem rządził... Wielki tedy przestрах. przerażenie i knowanie całego rodu. dalszych i bliższych. tak że prezesowej życie zatruto... Trzymała się sama jedna przeciwko wszystkim... Kochała go. to nie ma wątpliwości. Zmęczeni ją wreszcie tak. że pod pozorem zdrowia chłopca wyprawili Murmińskiego z synem za granicę... Zszedł im z oczów... ale ona ciągle jeździła do syna i do niego... W tych czasach. bardzo jakoś prędko zjawiała się sierotka. niby kuzynek, synowczyk.. czy tam jakiś dawny krewny guwenera... Tadzio Murmiński, którego prezesowa wzięła na wychowanie, a zajęła się nim tak troskliwie i oka-

zywała mu tyle miłości. jakby był jej własnem dzie-
cięciem.

Tu doktorowa zniżyła głos jeszcze...

— Czy pan nie uważałeś tego. o czem mi mówiono.
że Tadzio ów ma być kropla w kroplę do prezesa po-
dobny?

Profesor się zamyslił.

— Rzeczywiście. rzekł. są to dwie różne twarze,
ale typ jeden. Ludzie do siebie niepodobni na pierw-
szy rzut oka, a pojedynczo każdy z nich drugiego
przypomina...

— Wieści chodziły rozmaite, że prezesowa pota-
jemnie za mąż za niego wyszła i przyrzekła tylko na-
tarczywej rodzinie, iż zachowa to w tajemnicy... Mur-
miński wychował prezesa... który go cierpieć nie mógł
— potem pokazywał się tu niekiedy, mieszkał—doku-
czano mu niezmiernie... Zaczął bywać coraz rzadziej,
prezesowa odprawiała podróże za granicę — i — i co
się z nim stało—nikt nie wie. Nie słysząc było. żeby
umarł.

Tymczasem Tadzio, którego familja równie gor-
liwie pozbyć chciała, wychowywał się jak paniczek
staraniem prezesowej. Pieściła go, zapomniiała się
i kompromitowała tem dzieckiem. które powszechnie
za jej własne miano. Dzisiejszy pan prezes, o kilka
lat starszy, prawdziwą pałął nienawiścią dla tego ry-
wała. który mu macierzyńskie odbierał serce. Lecz
ani usiłowania rodziny, ani wybuchy syna nie potrafi-
ły prezesowej zmniejsić do wyrzeczenia się wychowańca.
Dopiero gdy dorósł i opieki jej nie potrzebował, wy-
słała go, oplakawszy rozstanie, za granicę. Co się
potem z nim działo, już nie wiem.

Prezes doszedł do pełnoletności.

Był on zawsze z uszanowaniem dla matki, lecz miłość, co winna była łączyć z nią syna, wyrwana z serca została z powodu wychowawca. Z powodu tego tajemniczego ślubu i mezaliansu, który był powszechną plotką, prezes wymagał od matki, aby się otwarcie raz oświadczyła, że to wszystko było fałszem. Zdaje się, że odmówiła synowi. co więcej. w rozmowach bywała tak nieostrożną. iż często na wpół się przyznawała do drugiego męża i syna. Familja zaczęła z tego powodu. przerażona kompromitacją, rozpuszczać wieści. iż prezesowa od newralgji dostała lekkiego obłąkania i że prawda—od rzeczy.

Bóg jeden wie. co ta kobieta przecierpiała, smutna była. nieszczęśliwa i rzadko ją kto inaczej widział jak z zapłakanemi oczyma. Majątek własny obciążyła znacznemi długami i domyślano się, że je zaciągnęła. ażeby drugiego syna wyposażyć. Póki tylko zdrowie dozwalało, wymykała się, mimo prośb syna, za granicę. — Zaczęto rozpuszczać wieści. że ów wychowanek bardzo się źle prowadził. Biedne kobiecisko tonęło we łzach... Cierpienia jej i losy okrywa tajemnica.—Wiemy tylko, że czując się bliską zgonu. powołała staruszka kanonika czy prałata Jeremiego, który podobno dotąd żyje.—Prezesa nie było w domu, gdy przybył. opowiadano. że długą odbyła spowiedź, słudzy pletli, że mu oddała jakieś papiery—pieniądze.

Na tem kończy się historia moja — dokończyła doktorowa.—Widzisz więc, profesorze, iż miałam powód prosić cię, ażebyś prezesowi o Tadiu nie wspominał.

— A ja, mościa do brodziejko —przerwał profesor— byłem taki uparty... żem go zagadnął i pogniewał.

— Domyśliłam się tego, ze smutnym uśmiechem dorzuciła gospodyni. — Jest jeszcze jeden powód. dla którego ci — bracia czy nie bracia — znieawidzieć się musieli.

— Jeszcze jeden? zapytał profesor.

Doktorowa uśmiechnęła się.

— Powód dla nas starych już nie bardzo zrozumiały, lecz najstraszliwiej waśniący ludzi. — Miłość.

Kudełka przestraszony rękami strzepnął.

— Kochałeś się też kiedy. panie profesorze? żartobliwie poczęła doktorowa.

Biblioman dziwnie wykrzywił twarz usłyszawszy pytanie sięgające do głębin jego przedwiecznych wspomnień.

— A! moja mościa dobrodziejko — odparł składając ręce jak do modlitwy — może być bardzo, żem między 18 a 26 rokiem doświadczył tej choroby, której ogólnie ulegają wszyscy — ale dziś — popioły zasypały te pamiątki aberracji młodzieńczych. Od 30 roku zaś, mogę zaręczyć, że oprócz książek i nauki w sercu nic nie zostało. coby jego błogi spokój zakłócić mogło

Gospodyni uderzyła go po ramieniu.

— Ale nie wszyscy są tak rozumni — odezwała się — lub tak szczęśliwi. by miłość jednej istoty, jak wy. na miłość ogólną ludzi przerobić w sobie mogli. — Gdy oba ci panowie, nasz szanowny prezes i młodziuchny Tadzio razem jeszcze tu byli, prezes dziś tak surowy i na pozór chłodny mąż ślicznej Żulietty, śmiertelnie był zakochany w bogatej i pięknej bardzo Toli Z... Panna Tola. której rodzice wcześniej poumierali. wy-

chowała się u ciotki. . Ciotka hrabina Pompadour (tak ją tu powszechnie nazywano) żyła na wielkiej stopie.

Sama była jeszcze piękną i hołdów chciwą. Dom zawsze pełen. wesoły. otwarty, zwabił całą młodzież z sąsiedztwa... Dziedziczka mnogich włości. na wydaniu, możesz sobie wyobrazić. ilu motylów ścigała około swej aureoli. A była — i jest, nie tylko piękna i bogata, ale rozumna. dowcipna i śmiała.

Powiadano, że dosyć miłym okiem spoglądała na prezesa, gdy zjawił się ubogi wychowaneczek prezesowej ów Tadzio Murmiński — i — prezesa, a z nim całą czeredę innych pretendentów odsadził. Panna się nim tak skandalicznie zajęła, że ciocia musiała mu dom wypowiedzieć. W półtora tygodnia po tem musiało coś zająć bardzo ważnego między ciocią a siostrzenicą. bo hrabina Pompadour pojechała do prezesowej i zastawszy tam Tadzia... z rumieńcem na twarzy, zaprosiła go, żeby bywał znowu...

Ciocia Pompadour potrzebowała zawsze pieniędzy, siostrzenica bogata dostarczała ich. domyślano się, że zagroziła wyniesieniem się z jej domu i odmową dalszych subsydjów... Ciocia więc przystać musiała na warunki. lecz umiała sobie dać radę... Nasaodziła na siostrzenicę cały rój opiekunów i powag rodziny.. Nie dawano jej pokoju. Stryj panny zaklął się, że nigdy w świecie na małżeństwo nie pozwoli... Chciano ją wydać za prezesa. Panna z wielkim charakterem nawzajem zapowiedziała, że nie wyjdzie nigdy za niego. Istne z tego wyrosło piekło... Tadzio po kilku bytnościach u cioci. musiał się wyrzec dalszych konkurów... Co między nim a panną nastąpiło,

nie wiem... Wyjechał wkrótce za granicę i zniknął—prezes ochłonawszy nieco, na złość ożenił się z tą cudną naszą Żuliettą...

— A panna Tola? zapytał cicho profesor — panna Tola?

— Panna Tola mieszka ze starą guwernantką u siebie na wsi... Zdziaczała i zdziwaczała. Co roku daje nielitościwie grochowych wieńców kilka lub kilkanaście ciśnącym się wielbicielom... robi sobie niebieskie pończochy, wyemancypowała się trochę i nudzi okrutnie... czasem wyjeżdża za granicę. niekiedy mieszka w Dreźnie lub Berlinie—podróżuje, bawi się muzyką. zaczytuje w książkach... i zapowiada głośno, że postanowiła zostać starą panną...

— Czy się z moim jegomością poróżnili? zapytał zamysłony profesor.

— A któż to wiedzieć może! rozśmiała się doktorowa... ani jak się z sobą rozstali... ani co w ich sercach żyje a co umarło... nikt nie dojdzie. Tola jest jeszcze bardzo ładną choć dojrzałą, a raczej chce starą udawać...

Czcigodny Kudelka mocno się zadumał.—Chciał się wieszać, śnać znikąd żadnej nie ma nadziei...

— Tyle lat. mój profesorze—westchnęła doktorowa—mieli czas oboje wystygnać... Prezes ma śliczną żonę i kocha ją. o ile taki stateczny człowiek kochać może... a mimo to ludzie powiadają, że gdy się w towarzystwie przypadkiem spotka z tą pierwszą miłością swoją, mieni mu się twarz... oczy w nią wlepia... słupieje i żona się na niego gniewa...

Skończywszy doktorowa zadzwoniła o kawę.

— Nakładłam ci w uszy, mój pocziwy Kudelko,

rzekła—więcej niż było potrzeba. Są to stare dzieje...
Lepiejby się pono naradzić co z nim robić?

— Tem bardziej dodał profesor, że ja—że mnie—to
jest nie powiadam, ażeby mi miał być ciężarem, ale
jestem częstokroć w takim położeniu...

Wygadał się zafrasowany i sam tej szczerości
przestraszywszy, zamilkł...

— Rozumiem, że ci nieprzygotowanemu trudno być
może taki ciężar dźwigać... Lecz, czy był Tadzio syn-
nem, czy wychowancem prezesowej, być nie może, iżby
ona kochając go tak, zapomnieć o nim mogła... We-
dle wszelkiego podobieństwa ks. Jeremi musi coś wie-
dzieć o tem... czy nie należałoby go zapytać!

— A tak jest! tak! podchwycił uszczęśliwiony Ku-
delka. O! stokroć pani dobrodziejce za tę myśl szczę-
śliwą wdzięczny jestem... Jutro pójdę do niego...
z daleka... zagadnę... ostrożnie...

— Tymczasem zaś, gdybys był w jakim kłopotcie —
przerwała doktorowa — nie bądźże dzieckiem, masz
pożyczać u żydów, weź u mnie...

Osiemdziesiątletni starzec pokraśniał na te sło-
wa jak piwonia... przestraszył się — nigdy w życiu
u nikogo prócz żydów i lichwiarzy nie pożyczał jesz-
cze...

— Pani dobrodziejko—nie potrzebuję! nie potrzebn-
ję—źle się tylko musiałem wyrazić... w istocie wcale
nie potrzebuję i po stokroć pani składam dzięki...

Rozśmiała się gospodyni.—

— Nie dziwacz, stary. rzekła — gdybyś potrzebo-
wał. mnie kilkunastu talarami, a nawet i stu nie zro-
bisz różnicy... a ciebie lichwiarze zjedzą...

Zarumieniony starzec, z przestachu pochwycił

za kapelusz —i począł się żegnać zapomniawszy nawet że kawy nie dopił.

Zwróciła go doktorowa do tego obowiązku uważając, że chyba by kawa nie dobrą była... Kawa była doskonałą...

Śmiejąc się nieco, choć profesor smutny był w duszy — dopili ją. i Kudelka nareszcie czuł się w prawie pożegnania gospodyni... Już pierwszy ukłon i ucałowanie ręki rozpoczęte było, gdy służący wbiegł oznajmując odwiedzin — panu Toli.—

— Zatrzymajże się, to ją zobaczysz! szepnęła doktorowa żywo... Nie podobna żebyś ciekawym nie był. Nie wiedziałam, że jest w mieście. To pora w której ona zwykle za granicę się wybiera. musi być w podróży.

Profesor zamówiwszy sobie, że się będzie mógł potem wysunąć po cichu — z kapeluszem w ręku stanął na boku.

W tejże chwili żywy szelest sukni i szybki a śmiały chód dał się słyszeć i ukazała się na progu, jak Kudelka później mówił — Juno...

Była to wspaniała bardzo. w kwiecie młodości, ale poważnie ubrana piękność, którą tylko do pani Żuljety porównać było można. Słusznego wzrostu, budowy posągowej, z głową podniesioną rozkazująco i nieco dumnie, z wzrokiem śmiałym i przenikającym wchodziła, uśmiechem łagodnym witając gospodynię, ku której obie wyciągnęła dłonie.

Strój nie był zaniedbany, ale w stylu surowym i starszym niż wiek wymagał. Miała na sobie. mimo ciepłego dnia suknię z ciężkiej materji czarnej, nieco powłóczystą, bez żadnych pstrocizn i dodatków, oprócz

kilku wstęg fioletowych. Żadna błyskotka nie świeciła na piersiach. ani na pięknej białej szyi jak z marmuru wykutej. — Pomimo tego ubioru matrony jaśniała młodością świeżą i bujną. — Twarz nieco smutnego wyrazu królewskiego. a jak profesor mówił. junoniskiego miała w sobie. Na widok jej i na myśl że ten obszarpaniec. którego on ocalił — mógł się kochać w takiej bogini — Kudelka osłupiał i osłupiałego przedstawiła go doktorowa przybyłej.

Za Tolą szła jej nieodstępna towarzyszka. niejaka baronowa Teresa von Zeys, z domu Polka. osoba cicha. łagodna. spokojna, nie zawadzająca — z którą się Tola doskonale godziła i kochała ją jak siostrę. Ta nie pierwszej już młodości pani, której mąż cały majątek w karty przegrał — żyła na łasce swej uczenicy. ale była dla niej najczulszą towarzyszką i najukochańszą powiernicą...

Wśród pierwszych słów rozmowy. profesor. który już był Junonie dosyć się przypatrzył. uznał właściwem wymknąć się niepostrzeżony. tem bardziej iż niespokojnym był o gościa i Shakespeara. —

Zastał ich obu w najprzyjaźniejszych stosunkach... Murmiński czytał leżąc Romea i Julię poraz w życiu pięćdziesiąty i tak był przejęty dramatem, że nie prędko Kudelkę zobaczył i usłyszał..

Profesor nie chciał się mu spowiadać ani gdzie był. ani kogo widział. — Opatrzywszy czego mu na dziś było potrzeba. pożegnał uściskiem ręki...

Murmiński wrócił do dramatu...

— Mój dobry profesorze — zawołał — ty nie wiesz coś mi za szczęście dał w tym Shakespearze... Wcielając się w cudze bóle, człowiek trochę o swoich za-

pomina. — Ale na miłość Boga! roboty, jakiej chcesz roboty... bo mnie ta myśl zadusi, że żyję twoją jałmużną.

— Znajdziemy, znajdziemy! rzekł odchodząc profesor, — trochę tylko cierpliwości.

Nazajutrz rano, pamiętając dobrze iż powinien był widzieć ks. Jeremiego. profesor prosto z lekcji poszedł do wskazanej kamienicy. — Miał właśnie na ustach zapytanie gdzie mieszka ks. prałat, gdy go biegnący sługa potrącił..

Kupka ciekawych stała pod galerją w dziedzińcu. którego był wchód na górę...

— Stary był... gdzież! miał z dziewięćdziesiąt lat— co za dziw. . mówił jeden.

— Ale wczoraj zdrowiusieńki — gadał — jadł, Paweł powiada, że go dawno takim nie widział. Jeszcze kieliszek wina wypił przy obiedzie. Ks. Strużka do niego chodził. . a... dziś rauc... c a p u t !

— Słyszę tak jakby spał starowina...

— Któż to taki zmarł? bardzo grzecznie spytał profesor pednosząc kapelusz.

— Ks. prałat Zaklika... ks. Jeremi... rzekł jeden z przytomnych...

Kndełka oczy w ziemię spuścił — nie było już po co iść. — Spóźnił się o dwadzieścia cztery godziny... — Taki to los bywa tych, których ściga nieszczęście jakieś i fatalizm, rzekł w duchu smutnie stary. — Z ks. Jeremim zgasła ostatnia dla biedaka nadzieja...

Westchnął. — Po cóż mu już i mówić o tem... albo o owej pannie... z którą on dziś nieboraczysko nie do pary...

Aleć przecie jest Opatrzność — damy mu jakokolwiek radę...

Doktorowa. której Pan Bóg dzieci nie dał, z dobrego serca i z nudów dosyć lubiła zajmować się sprawami bliźnich. lecz w taki sposób, że im chętnie była pomocną. a nigdy. przynajmniej z dobrej woli, — szkodliwą. Nie było to dla niej czerzą zabawką ale dopełnieniem obowiązku. Udawało się często zapobiedz złemu. przyspieszyć lub zachęcić do zrobienia dobrego. I tym razem zobaczywszy wchodzącą właśnie na tę rozmowę Tolę. pomyślała sobie. że należałoby zapukać do jej serca i spróbować, co się tam też w niem dzieje.

Siadły na kanapie — towarzyszka Toli rzadko mieszająca się do rozmowy, gdy wzywaną nie była. odsunęła się opatrując kwociarnię bogatą gospodyni.

Doktorowa długo patrzyła na piękną pannę, z którą była w dawnych i przyjacielskich stosunkach.

— Moja Tolo — rzekła nie spuszczać z niej oczów — jakaś ty mi zawsze śliczna.. jaka świeża i młoda i jak dziwnie na tobie znać, żeś — szczęśliwa.

Tola zwróciła ku niej twarz poważną i łagodnie uśmiechniętą.

— Wiesz — odpowiedziała — nie dziwiłabym się żadnemu odkryciu na mojej biednej twarzy... ale żeś ty na niej potrafiła wyczytać wyraz szczęścia...

— Miałabym się omylić? przerwała gospodyni.

Zamilkła Tola spuszczać oczy.

— My panny — odezwała się po chwili — nie możemy być szczęśliwe, to nam zabroniono, — nasz

stan jest ciąglem oczekiwaniem... a gdybyśmy już miały szczęście, musiałybyśmy skazać się na pozostanie z wiekuistym panieństwem. Co do mnie — może o tyle odgadłaś szczęście, że w istocie nie myślę iść za mąż i dla tego jestem spokojną... jestem zadowoloną, nie żądam więcej ani inaczej.

— Więc miałam słusznosc.

— Tak — westchnęła Tola — umiałam się wyrzec marzeń; żyję rzeczywistością i — jest mi znośnie.

— Ale żebyś ty nie poszła za mąż? zapytała doktorowa.

— Przynajmniej bronić się będę od tego — rozśmiała się Tola.

- Dajesz mi do myślenia — odparła na to jejmość — masz więc jakieś drogie wspomnienie, które ci świat zasłania.

— Pierwszy raz słyszę cię tak usiłującą wypowiedzieć mi — odezwiała się piękna panna... czybys miała i ty dla mnie konkurenta?

Doktorowa zaczęła się śmiać. A! a! to przeciwko moim zasadom — zawołała — nikogo nie żenię i nie rozwodzę nikogo.

— Oddycham — rzekła Tola — bo przyznam ci się, że to wiekuiste swatanie mi świat mi obrzydziło. Dla tego wyjeżdżam tak często za granicę, bo mnie w domu spokoju nie dają. Czasem radabym, żeby się wieść rozeszła, iż straciłam majątek w ten czas. ręczę ci, daliby mi pokój i niktby się już nie zgłosił.

— Jesteś niesprawiedliwą — dodała gospodyni — z tych co się o ciebie starali... wiem przynajmniej jednego, który nie myślał o majątku.

— Jednego? kogo? marszcząc brwi spytała Juno.

— Nie chcę przypominać go, bo to był człowiek biedny.

Podniosła głowę doktorowa i jakby wcale z innego tematu i z innego tonu poczęła.

— Nic à propos, nie wiesz też, moja sliczna. co się stało z Tadzim Murmińskim?

To mówiąc wlepila w nią oczy, śledząc wrażenie, jakie uczyni wspomnienie tego imienia. Tola pozostała zupełnie spokojną — chociaż znać było, że wielkiej sile i panowaniu nad sobą winna to była. Zwolna podniosła oczy łzawe jakies na doktorową i ruszając ramionami rzekła.

— Nic o tym panu nie wiem. Domyślam się, że w nim zapewne chcesz widzieć tego, co nie myślał o majątku, ale też on i o mnie nie myślał. Wierz mi. Trzpiot... głowa zapalona. serce płoche... nie warto mówić o nim.

Znać było, gdy to kończyła drzenie w głosie.

— Nie mogę o nim sądzić, bom go prawie nie znała, jednak są ludzie, co lepiej o nim trzymają — mówiła spokojnie doktorowa — a wszyscy są tego zdania, że się szalenie w tobie kochał i że rozpacz go w świat popchnęła.

— Rozpacz! poczęła się śmiać Tola... ah! cóż za tragiczne pojęcie lekkomyślnego charakteru.

— Nie znam nieszczęśliwszej doli nad tę, co go spotkała — odezwała się doktorowa — być w takim domu, u takiego serca, jak prezesowej prawie synem, dziecięciem, pieszczochem, wychować się w dostatkach i zostać wypchniętym, zapartym, pogardzonym... sierotą i włóczęgą.

— To prawda — odezwała się Tola — położenie jego było przykre, ale nie przechodziło sił, którymi mężczyzna, godzien tego imienia, do życia uzbroić się powinien. Nie miał siły i odwagi walczyć i wywalczyć sobie to, czego mu odmawiano lub pozbawiono go — uciekł jak tchórz i dziwak. Nie mam szacunku dla człowieka, co nie miał mężstwa.

Ale Tolu droga — przerwała doktorowa — jesteś niesprawiedliwą. Onby był walczył, gdyby miał choć tyle gruntu pod stopami, żeby się na nim mógł oprzeć. Prezesowa zmusiła go oddalić się — dla syna, który tego po niej wymagał. Matce przybranej odmówić tego nie mógł.

— Ale czyż tak było? i dla czegoż pani kochana tak gorąco bierzesz jego obronę?

Doktorowa zamilkła na chwilę.

— Że tak było, tegom pewna, a biorę go w obronę, bo mnie najmocniej boli, gdy człowieka potępiają niesłusznie.

Tola popatrzyła na nią długo i chcąc znać przerwać rozmowę wstała oglądać kwiatki, ale przechodząc około doktorowej, nie wiedzieć skąd i dla czego chwyciła jej rękę i milcząc ucisnęła ją gorąco.

Mówiono o rzeczach obojętnych.

— Zabawisz tu długo? zapytała gospodyni.

— Parę tygodni, odparła Tola...

— Parę tygodni. I jakże uniknąć potrafisz spotkania z prezesem, dla którego jeszcze jesteś niebezpieczną i prezesową, która się rumieni cała, gdy nazwisko twoje posłyszysz?

— Nie myślę ich unikać wcale — obojętnie rzekła Tola — prezesa nie widzę nawet, gdy go spotykam...

a prezesowa zbyt jest dobrze wychowaną osobą. ażeby mi swe nieukontentowanie okazać mogła... To prawda. że oboje, szczególnie on — przykre na mnie czyni wrażenie... przepraszam — wszak krewni?

— Żulietta... ale nie biorę tak do serca jej rumieńców...

Znowu oglądały kwiatki i wróciły na kanapę... Tola była widocznie zasmuconą. Po różnych kombinacjach dosyć częściej rozmowy zbliżyła się do ucha doktorowej.

— Czyś pani co nie słyszała o tym nieszczęśliwym? spytała...

Zadane pytanie dało do myślenia doktorowej. zaczęła się bawić chustką nie pewna co odpowie. Wszystkiego zwierzyć jej nie mogła... skłamać zupełnie nie chciała...

— Słyszałam coś — ale się dobrze z tego wytłumaczyć nie umiem... Mówiono mi. że był nieszczęśliwy, że się błakał... że go familia prezesowej odepchnęła zupełnie... Ale to są pogłoski...

— Tułał się za granicą? podchwyciła Tola.

— Tak mówią...

— Obejścia się tego z wychowawcem matki — nigdy temu surowej cnoty prezesowi przebaczyć nie potrafię — dodała Tola... Wszak to był taki prawie jak brat jego, towarzysze... wychowawiec domu ..

— Są cnoty, które samą cnotę w obrzydliwość podają...

To mówiąc zerwała się żywo z siedzenia Tola i zaczęła żegnać — nie czekając na odpowiedź gospodyni. Skinęła na towarzyszkę, wyszły...

Dla doktorowej jawnem było, że jakieś uczucie, choćby tylko litości dla nieszczęśliwego pozostało w sercu Toli...

Nazajutrz powróciła z miasta — gdy posłyszała chód za sobą i profesor Kudelka błady jak ściana. poruszony. co mu się bardzo rzadko trafiało — przybiegł do niej. witając jakoś dziwnie, bo nieprzytomnie.

— Pani dobrodziejka słyszy dzwony? zapytał zdyszany cały...

— Tak — musiał ktoś umrzeć...

— Ks. prałat Jeremi! tak! proszę pani, dziś. dziś w nocy!

Profesor załamał ręce...

— Przychodzę do kanonji — pytać gdzie mieszka, znajduję kupę ludzi na dole... słyszę, że mówią o umarłym... Kto taki? A to ten nieszczęsny prałat... Żeby dwadzieścia cztery godziny...

Mimowolny smutny uśmiech poruszył twarz doktorowej — skinęła ręką...

— Nie mówmy o tem... rzekła — są fatalizmy w życiu człowieka...

W tejże chwili prawie do prezesa. który pracował przy swem biurku nad korespondencją, zapukawszy weszła żona w prawidłowym, pięknym stroju rannym... świeża, piękna i różowa jak lalka...

— Pardon — odezwała się — nie przeszkodziłabym ci, ale mi się zdaje. że ta wiadomość obchodzić cię może — ks. prałat Zaklika...

Prezes się zerwał od biurka.

— Ks. prałat zmarł dziś w nocy...

— Rzucił rozpoczęty list prezes i ścisnął chłodno rękę żony... twarz mu pobladła...

— W istocie — odezwał się — to wiadomość smutna dla nas. był przyjacielem naszej matki... Zdaje mi się nawet, że potrzebaby tam pójść — dowiedzieć się, bo nikogo tu z krewnych nie ma, a nie wiem, czy jest się zająć komu...

Bardzo ci dziękuję.

Żulietta uśmiechnęła się chłodno, skłoniła głowę i wyszła...

Zamknawszy biuro prezes, mimo że godzina była. w której zwykle siedział w domu. wziął kapelusz i pospieszył na kanonję. Miał on chód urzędnika i człowieka dbającego, aby go w ulicy za łada kogo nie wzięto, chodził zawsze powoli, z pewną nroczyością, jakby za procesją, ale teraz niepokój poznać było łatwo po chodzie przyspieszonym. nierównym. zapomnianym... Prawie zmęczony wpadł prezes na kanonję.

Na dole stała jeszcze też sama kupka ciekawych próżniaków, nowemi żywiołami pomnożona. którą tu zastał profesor. Wszyscy znając prezesa z pokłonem ustąpili. Nie wdając się w rozmowę z gawiedzią. posunął się na górę. W progu mieszkania ks. Zakliki stał ks. Strużka blady i pomieszany i Paweł. który chustką zatabaczoną łzy ocierał. Pokoje właśnie urzędnicy opie czętowali.

Prezes, który ten obrząd chciał podobno przeżyć, zmieszany pozostał przy pierwszym progu... ks. Strużka przywitał go zimno.

— To wielka strata, a dla mnie prawie nieszczęście — odezwał się prezes — i któżby się mógł tego spodziewać. Wczoraj go odwiedzałem... mówił wiele, był ożywiony zdawał mi się zdrowszym niż kiedy..

— I ja byłem u niego wczoraj — mruknął ks. Struż-

ka — dał mi nawet zlecenie do dopełnienia na dziś — a dziś...

— Proszę państwa... ja przy nim jestem od czterdziestu lat — płacząc począł Paweł — znałem go już jak nie można lepiej. Był zdrowiuteńki, jadł, napił się kieliszek wina. wieczorny brewiarz całuteńki odmówił, to widać po zakładkach, bo ja już po nich poznawałem kiedy nie zdrow był — bywało tylko krótkie pacierze zmówiwszy szedł do łóżka, a oto... oto...

I Paweł płakać zaczął rzewliwie.

— Ale któż się tu wszystkim zajmie — nieśmiało wtrącił prezes.

— Ja — rzekł ks. Strużka.

— A z familji, bo przecież z familji kogoś mieć musiał?

— Tylko jednego brata — przerwał Paweł — majora Zaklikę — z pod Krakowa, temu zaraz trzeba dać znać, nie ma co...

Prezes radby się był Pawła więcej rozpytał. zawadzał mu ks. Strużka... Po chwili jednak ten odszedł dla zajęcia się pogrzebem, a prezes został sam na sam ze sługą. Paweł miał wielką do gawędy ochotę — ból swój chciał wylać w słowach. tylko nie przed panem prezesem, do którego czuł wstręt nieprzezwyyczajny dla tego, że stary jego pan go nie lubił. — W takiej jednak chwili — mieć przed kim choćby niemiłym zapłakać, ulgę czyni. Paweł czuł to i dozwolił za sobą do izdebki wejść prezesowi, który niósł twarz smutną i wielkie współczucie.

Paweł z razu wylał cały swój żal i strapienie... na co słuchacz powolny się zgodził i nie przerywał mu skargi... Nastąpiły potem pytania...

— Powiem ci panie Pawle poufnie, odezwał się w końcu prezes, n tego zacnego prałata nieraześmy nasze papiery składali... i nawet teraz ja tam mam coś u niego... czy to też bezpieczne?

Paweł się popatrzał niedowierzająco.

— A toż zaraz przyszli ze sądu opieczętować i biórko i pokoje... to tam i najmniejszy świstek nie zginie...

— A gdzież prałat papiery chował?

— A no — pewnie w biórku — odezwał się Paweł, choć doprawdy nie wiem, coby on do chowania miał. Pienędzy niczych ani swoich wiele nie było... a papiery to tam nie wiem...

— I po śmierci nikt tam nie chodził! dodał prezes...

— Żywej duszy oprócz mnie nie było, dopóki sądowi nie przyszli... Jeśli tam co było to się pewnie znajdzie...

— Jeden pan major Zaklika, godny człek, choć domator i wygląda na prostego bardzo inwalidę... ale roznmny i uczciwy...

Obdarzywszy Pawła, aby miał czem łyzy otrzeć, prezes niespokojny zszedł jeszcze do ks. Strużki, którego zastał nieprzytomnie błakającego się po pokoju. Biedny kanonik bolał nad powierzoną sobie tajemnicą, którą przez obawę wczoraj nie chciał wziąć na swe sumienie, a dziś ona już zeszła do grobu z prałatem. Gryzło go to niewypowiedzianie, wdychał i jęczał... na pół nieprzytomny. Prezes wszedłszy znalazł go tak milczącym z razu, iż słowa z niego dobyć nie było podobna...

Znać było po nim wachanie się wielkie, nim roz począł rozmowę, lecz niepokój wreszcie przemógł.

— Ja to do ks. kanonika, rzekł—przychodzę po radę i o pomoc...

— Czemże mu służyć mogę?

— Mam, mam słuszne powody do tego, iż chciałbym i potrzebował widzieć papiery pozostałe po ks. prałacie... Mielśmy z sobą stosunki poufne za życia mej matki... wiele rzeczy pisało się — tyczących spraw familijnych, których kopie — ba nawet i oryginały pono matka nieboszczka zostawiła w ręku ks. prałata... Idzie mi o to, aby tam obce oczy i źli ludzie niepotrzebnie się nie wścibiali...

— Ale papiery są opieczętowane! zawołał kanonik—w tej chwili zapóźno...

— Czy nie wiecie co o testamencie! zapytał prezes...

— Nikt o nim nic nie wie —rzekł ks. Strużka, teraz musimy oczekiwać aż brat zjedzie jako jedyny spadkobierca... przy nim zdjęte będą pieczęcie...

Kanonik westchnął bolesnie wspomniawszy wczorajszą rozmowę. Prezes niespokojnie też po pokoju się przechadzać zaczął...

— Wszystko to, zawołał, bardzo smutne — bardzo dla mnie przykre -- któż tam wie, jakim się brat ks. Zakliki okaże... Możemy mieć wiele nieprzyjemności...

Kanonik zmilczał.

Widząc że i tu nic się uczynić nie da, ani nawet dowiedzieć o niczem nie podobna — prezes w milczeniu opuścił mieszkanie ks. Strużki i powolnym krokiem powrócił do domu.

Niepokój jaki okazywał był zupełnie usprawiedliwionym. — Wiedział on na pewno prawie, iż przed

śmiercią papiery jakieś a prawdopodobnie i pieniądze powierzyła jego matka staremu przyjacielowi, domyślał się, iż te tyczyły się wychowanka znienawidzonego i mogły nieboszczkę kompromitować. Szło tedy prezesowi wielce o to, ażeby papiery wydobyć a teraz już innego na to środka nie było. tylko pilnować przybycia brata ks. Zakliki, zyskać jego względy i z jego pomocą dojść do upragnionych papierów... P. Majora nie znał tu nikt, prezes go w życiu nie widział... zadanie więc ze wszech względów przedstawiało się jako bardzo trudne...

Profesor Kudelka chociaż przed nikim się nie skarżył, od owego poranku. bardzo był zmieniony i frasobliwy.

Postrzegł nieco późno, iż los mu narzucił ciężar nad siły, któremu z trudnością mógł podolać. On sam żył z dnia na dzień bardzo małym kosztem, często bułką i mlekiem, w lepsze czasy rosółem i kawałkiem mięsa z sąsiedniej garkuchni Kukiewicza, który mu chętnie kredytował. — Z przybysem było daleko trudniej i kosztowniej.

Naprzód trzeba mu było kazać nosić jedzenie, bo profesor nie chciał, żeby się bardzo w mieście pokazywał, nie wiedząc czy mu jako wywołańcowi, jakie niebezpieczeństwo nie grozi—a od niego o tem wcale dowiedzieć się nie było podobna.

Następnie nieszczęsny ów Tadzio nie miał nawet koszuli, więc zacząwszy od niej sprawić mu było trzeba wszystko. W ostatku znaleźć zajęcie dla niego trudno było także, ażeby w domu mógł pracować, a wychodzić nie było bezpiecznie, dopóki profesor nie przekonał się, iż mu nic nie groziło.

Sama nieprzyjaźń prezesa już była dlań straszną, przy swych stosunkach dostojny urzędnik mógł jednym wtrącić słowem zrozpaczonego już człowieka w nową przepaść lub pobudzić do jakiego niebacznego kroku.

Tymczasem w domu grosza zabrakło i profesor cichaczem zegarek złoty musiał zastawić. Mógłże nieszczęśliwego opuścić? Wstyd dla niego było że-brać.

Pierwszego dnia leżał uratowany rozczytując się w Shakespearze, palił cygara i cygarety, spał i świ-stał. Profesor zastawał go potem nad różnemi zatrudnieniami.—Godzinami całemi przypatrywał się wró-blom odprawującym sejmiki na przeciwległym dachu. Potem chodził tłukąc się o ściany po pokoju—to zno-wu siedział na krześle zgarbiony z rękami i głową zwieszoną... książki długo nie mógł czytać—rozmowy porządnej prowadzić nie umiał. Śmiał się z rzeczy najsmutniejszych, a smucił z najweselszych... chwilami zakrawało to na obłąkanie.

Dawszy mu się tak dobrze wysapać i sądząc, że na ostatku rozmówić się z nim poważniej będzie można... trzeciego dnia nad wieczorem z mocnem postanowieniem dowiedzenia się czegoś stanowczego, profesor Kudelka wszedł do izdebki na trzeciem piętrze... Było w niej właśnie tyle krzeseł ile ich konferencja wymagała. Wprawdzie na jednym z nich stała miska z wodą, ale tę pocziwy Kudelka uprzątnął i zasiadł przy stoliku naprzeciw swego pacjenta...

— Kochany panie Murmiński — odezwał się, musimy z sobą szczerze od serca do serca pomówić — daj mi dłoń z takim uczuciem, z jakim ja ci ją podaję i nie taj nic przedemną...

Murmiński ruszył ramionami.

— Nie mam sekretów rzekł. a gdybym je miał nie wahałbym się je profesorowi powierzyć... o cóż idzie?

— Jakie jest twoje położenie tutaj? spytał Kudelka.

— Moje położenie, to —? powtórzył Teodor— moje położenie było takie, że miało się odmienić na powieszenie—to dosyć powiedzieć.—

— Ale... to ogólnik... zaczął Kudelka — idźmy do szczegółów.—Czy odzywałeś się pan do prezesa?

— Ja? do tego człowieka? ja — do mego wroga? krzyknął porywając się Murmiński—ja—do niego!

— Ale—powoli—powoli—nie zapalaj się.

Czy przybywszy tu teraz — mówił stary, miałeś z nim jakie stosunki? widziałeś się z nim? wiedział on o tobie...

— Nie—rzekł chmurno Teodor—nie—słuchaj pan... Wypędzono mnie ztąd... wygnano... Najlepsza i najświętsza z kobiet była zmuszoną przez nich wysłać mnie ztąd... Włóczyłem się jak opętany po świecie... Szalejąc, bo mnie dręczyła tęsknota za nią... za krajem, za wszystkim co tu zostawiłem...

Na odgłos wojny—poleciałem się bić—zyskałem rany i wywołanie... Musiałem się kryć i uciekać znowu...

W chwili gdy ona umierała... jam nic nie wiedział, przybyłem za późno, wiem, że o mnie zapomnieć nie mogła... a jednak musiała... Zastałem grób a u grobu tego, co się nazywał niegdyś bratem, a był nieprzyjacielem. Zastałem pustki—twarze obce, ludzi co się mnie bali albo o mnie zapomnieli... nędza złamała...

kryć się musiałem... żal serce cisnął, cisnął i w chwili rozpaczcy... chciałem życia dokonać... Popełniliście kochany profesorze może występki. sądząc, że dopełniacie obowiązku...

— Przecież ojciec wasz... gdzie on jest? przerwał Kudelka.

Ojciec mój żył we Włoszech z małej pensyjki. którą mu posyłano... szukałem go tam—on mógł mnie przy życiu utrzymać, bom mu był potrzebny... Poszedłem pieszo szukać go—nie znalazłem.

Z tego kącika, który przez tyle lat zajmował w Rzymie na małej uliczce delle Viole t e g h e o s c u r e, wyjechał jednego dnia zabrawszy swe książki i tłumoczki nie wiedzieć dokąd... Umarł gdzieś może w drodze, albo się dostał do szpitala...

Kudelka ręce załamał i zacisnął starając się ukryć zwątpienie jakie go opanowało.

— Przypuśćmy. rzekł, żebyś się tu waćpan pokazał i był poznanym...? Jeśli przecie urodzony w tym kraju... niktby ci żyć nie wzbronił...

Murmiński ruszył ramionami,—

— Ale ja nie wiem nawet czy prawnie jestem tutaj czy obcy—zawołał śmiejąc się—ja żadnych papierów nie mam, bo resztę ich spaliłem pod dębem — jestem włóczęga... zrobi ze mną kto co zechce... prezes pierwszy, który będzie nielitościwym... i okryje to płaszczem poszanowania dla imienia swej matki...

— Miałci pan tu przecie dawnych towarzyszków i przyjaciół? rzekł Kudelka.

— Towarzyszków bardzo wielu—o przyjaciółach tak dalece mówić nie mogę... odezwał się Murmiński. — Mój drogi profesorze — to najgorsza rzecz, że upadłeś

ze mną w biedę... a ja dalipan już nie wiem, czy drugi raz zbiorę się na powieszenie...

Kudełka wstał jakby natchniony.

— E! cóż bo znowu pleciesz, panie Teodorze — zawołał—co z ciebie za mężczyzna! Ani woli użyć. ani rozumu, który ci Pan Bóg dał na swoje dobro obrócić nie umiesz... unosisz się nad poezją Shakespearą... a rady sobie w najprostszym przypadku dać nie potrafisz... Umrzeć, struć się, powiesić — najgłupsza rzecz — nie więcej to pono odwagi kosztuje, jak w zimną skoczyć wodę... ale człowiek stworzony do życia nie do wyprawiania sztuk ze sznurkiem i pistoletami...

Murmiński popatrział nań.

— Masz profesorze słuszość — tylko popełniłeś anachronizm—mówisz to do człowieka, który woli jak sprężyny nadużył i—pękła...

— To każ sobie ustawić nową do licha — odezwał się Kudełka. — Radźmy i róbmy—gawędy do niczego nie prowadzą. Człowiek nie żyje westchnieniami.—

— Ale umrzeć może...

— Nie pora! co u kata! rzekł rozgrzany Kudełka. Stworzony jesteś na to, abyś cierpiał i pracował... a nie. toś tchórz i próżniak.

Murmiński stanął milczący.—

— Mam ja tu moich znajomych i przyjaciół — coś mogę... wyrobimy waćpanu metrykę i świadectwo urodzenia, za tem, prawo pobytu, dalej śmiało z głową do góry trzeba się wziać do pracy... przyjdzie prześladowanie — a! no, będziemy się bronili—należy rozpocząć życie nowe...

Murmiński ciągle patrzył na profesora... łza mu z oczów pociekła, wyciągnął rękę.

— Ty jesteś heroiczny, mój profesorze, ale ja — ja jestem słaby...

— Masz młodość, masz wszystko — nie słucham... Słowo jeszcze raz, że się już na życie nie targniesz...

— Jużbym może i na to siły nie miał--odezwał się rękę podając Murmiński...

Profesor wstał i przeszedł się po pokoju.

— Jutro—biorę się na prawdę do roboty—odezwał się—gdzie wasza metryka?

Rodziłem się za granicą... jeśli się nie mylę we Florencji.—

Kudelka za głowę się pochwycił.—

— Siedźże tu—napiszemy do Florencji.—

W istocie trudności się mnożyły, ale stary, mimo swojego wieku, miał żelazną wolę. Nie mówiąc nic, postanowił nazajutrz pójść za swym protegowanym do najwyższych władz krajowych. Na czele ich stał wówczas niemłody człęk, który w chwilach wolnych bibliomanją się bawił. — Zawiązało to pewne stosunki między nim a Kudelką. — Radzca tajny považał wielce profesora. w którego biblioteczce nieraz zagościł i podziwiał stare niemieckie druki.

Całą nadzieję oparł na nim Kudelka. — Trzeba się było wypowiadać po trosze... lecz wierząc w uczciwość wrodzoną wszystkim co książki kochają (tak ntrzymywał profesor), był pewien, że go radzca tajny nie zdradzi.

Znowu tedy nazajutrz trzeba było przywdziać ów frak granatowy.—Dla pozyskania łaski wysokiego urzędnika niósł profesor pod pachą bardzo piękny egzemplarz *Navis stultorum* Brandta, z owe-

mi ciekawemi drzeworytami, które tyle tej satyrze dodają ceny...

Wiedział on, że biblioman nie miał tego wydania, że go pożałował, a właśnie Kudelkę się udało dostać drugi egzemplarz, który niósł w ofierze. Nie bardzo to było zgrabnem wieść tak na pokuszenie radzcę tajnego i chcieć go przekupić tą osobliwością—ale—Kudelka w prostocie ducha... jakoś się sam przed sobą uniewinnił.

Godzina była wybrana przedobiednia gdy pan radzca tajny odbywszy swe urzędowe zajęcia do domu powracał i na łonie rodziny zapominał często brudnych robót. w które, *j u s s u s u p e r i o r i*, ręce maczać musiał. Człek był zastarzały na służbie i biórokrata od stóp do głów. grzeczny, uprzejmy, uśmiechnięty, chłodny i formalista. Błada twarz wygolona, pargaminem pociągnięta, zmęczona już dosyć życiem... miała wyraz ten co nie mówi — uśmiech co się nie śmieje — błysk oczu co widzą tylko to, co widzieć im wolno. — Siedmią pieczęciami był obsigilowany radzca tajny... W towarzystwie najmilszy w świecie człowiek, dosyć uczony, dowcipny, ożywiony — w biórze *sfinx* czy machina—ale znakomicie wykonywająca to, na co ją nakrecono.

Gdy profesor z Brandtem pod pachą w pargamin cprawnym wszedł do salonu, zastał tajnego radzcę trzymającego na kolanach najmłodszą córeczkę i przypatrującego się jej z czułością starego ojca dla najmilszego dziecięcia.

Zobaczywszy Kudelkę radzca ucałował i puścił dziewczynkę a sam, nie witając się prawie, wychwycił

mu z pod pachy książkę. Pobiegł z nią do okna wpatrując się przez szkiełko.

— To nie twój egzemplarz — zawołał — pamiętam, na waszym jest pieczęć klasztoru w Hildesheim—więc do sprzedania?

— Nie, panie radzco, pozwolisz abym ci go złożył w ofierze...

— A! nie! nie! to być nie może...

— Być musi—odparł Kudelka—a nie, to go spalę. Poczeli się tedy targować.

— Ale niech pan nie myśli—dodał profesor—ażebym ja dawał mu go darmo — żądam nawzajem przysługi.

— Odemnie!

— Tak jest... musimy o tem mówić sam na sam... pół godziny czasu.

Radzca spojrział na zegarek. — Daję ci trzy kwadransy—chodź do mojego gabinetu.

Niosąc z sobą książkę radzca wszedł do sąsiedniego pokoju, w którego ślicznych szafach palisandrowych miał doborową biblioteczkę białych kruków. — Posadził profesora na fotelu.

— Naprzód pozwól panie radzco, rzekł Kudelka, ażebym sobie zastrzegł, iż mam do czynienia z prywatną osobą... nie z urzędnikiem... Jeśli pan jako osoba prywatna uznasz, że sprawa moja może być powierzona pewnemu tajemnemu radzcy, to mu ją powierzamy — jeśli nie—dochowasz mi pan tajemnicy...

Na te słowa, z nkosą spojrzawszy na ów egzemplarz Brandta, który jeszcze na biurku leżał, radzca nabrał na twarzy wyrazu poważnego i zamysłonego...

Ważył, czy mu jego niestarty charakter urzęduika dozwala w taki wchodzić kompromis.

— Nic w tem nie ma politycznego? zapytał...

— Jeśli zaczepimy o... to, co zowiecie politycznem, to chyba z daleka i z ukosa...

— Mów, odezwał się radzca.

Profesor rozpoczął a b o v o historję Todzia Murmińskiego, który go obchodził jako jego uczeń, chciał opowiedzieć o jego wychowaniu w domu prezesowej — gdy radzca z zimną krwią wziął go za rękę...

— Czekaj,—rzekł—ja to wszystko wiem... tego mi mówić nie potrzebujesz... Dodam tylko o czem może pan nie jesteś uwiadomiony, że prezesowa wyszła za dawnego guwernera swojego Murmińskiego. i że ów Teodor—wielkie nic potem—był jej synem...

— Tegom się domyślał — przerwał profesor, ale do wody?

— Dowody na to gdzieś się znajdować muszą — dodał radzca. jeżeli ich familia nie zniszczyła. Dumna rodzina nie chciała ani słyszeć o tem zamążpójściu. Grożono jej kuratelą. modlono, proszono... musiała ukrywać małżeństwo...

— I zdaje się. że tak dotrwawszy do ostatniej choroby—mówił profesor—gdy jej sumienie nie dozwalało rzucić własnego dziecka bez imienia i opieki, wezwała ks. Zaklikę, aby mu powierzyć swój testament... Ks. Zaklika nie umiał wyszukać Murmińskiego... a oto i on umarł a z papierami mu powierzonymi nie wiedzieć co się stanie...

— Leżą na nich sądowe pieczęcie—rzekł spokojnie radzca — jeśli są, to się znajdują...

Tu dopiero rozogniwszy sprawę pocziwy Kudelka przyszedł do najdrażliwszej strony swych zwierzeń... do osoby Todzia. Nie wyznał, że go trzymał n siebie na trzeciem piętrze, dał tylko do zrozumienia, że o nim wiedział i chciał go sprowadzić..

— Pan mi powiesz, czy mu tu grozi jakie niebezpieczeństwo?

Radzca się zamyślił, lecz znać pamięć swą uznał za niedostateczną,—dobył klucza, który nosił przy zegarku, otworzył bióro, znalazł książkę, na której grzbiecie złota litera M. jaśniała i zatopił się w poszukiwaniu wymienionego nazwiska.

Profesor patrząc nań radby był coś wyczytać na-przód z twarzy, lecz pergamin jej blady i pomarszczony nie zdradził tajemnicy. Radzca zamknąwszy książkę zwrócił się ku oczekującemu Kudelce — z twarzą nieco posępną...

— Właściwie — rzekł powoli — nie mamy dowodów prawnych, żeby ten chłopiec do czego należał, coby go podejrzanym czyniło — lecz mamy przekonanie moralne... że nie jest zupełnie czystym... Tolerować go możemy... dopóty, dopóki coś nie zajdzie...

Lecz — dodał ciszej — poufnie panu powiedzieć muszę, ma on tu nieprzyjaciela w człowieku znaczącym, posiadającym wpływ i przewagę... jeśli ten mu szkodzić zechce...

— Nie potrafimyż się oprzeć?...

Radzca podniósł brwi, zaczął palcami bębnić po biurku i—nic nie odpowiedział...

— Jak pan sądzi? przynaglił Kudelka...

— Sądzę, że to będzie—trudno—trudno...

— Lecz nie—niepodobna...

Radzca poprawił włosy i spojrzał na zegarek.

Ruch ten przestraszył profesora.

— Jeszcze dziesięć minut, zawołał chwytając za rękę radzcę. — Widziałem, jakeś się pan pieścił z dziećmi, jesteś ojcem... masz serce.

— Jestem urzędnikiem — i mam obowiązki — odparł zimno dosyć radzca... biorąc Brandta i oddając go Kudelce, który go żywym ruchem na biurko odrzucił.

— Odzywam się do człowieka, który ma serce — posłuchaj pan mojego opowiadania...

Nie zważając na nic, z gorącym uczuciem profesor opisał swoją botaniczną wycieczkę, swe spotkanie, ocalenie od stryczka nieszczęśliwego... i wyciągnął do radzcy obie ręce błagająco.

Ten siedział zastygły...

Dosyć długi przeciąg czasu nie dał żadnej odpowiedzi... Jeszcze raz poszedł do biurka i do litery M., zaczytał się w niej długo. Złożył foliant, zamknął i rzekł podając rękę profesorowi.

Spróbujemy... ale mi pan za niego odpowiadasz, iż jakiej burdy nie popełni.—Człowiek, co się targnął na siebie, może łatwo, nic nie mając do stracenia, porwać się na cudze życie.

— Al! nie! nie! — zawołał żywo profesor — zaręczam.

— Zamkniemy oczy i uszy — ale z daleka patrzeć i przysłuchiwać się będziemy.

W tej chwili najmłodsza córeczka pana radzcy weszła oznajmując, że dano do stołu; urzęd-

nik wstał, zapraszając uprzejmie staruszką — ale ten wymówiwszy się, co najprędzej wymknął do domu.

Major Zaklika był żołnierzem z 1831 r. W 1832 zegar jego życia stanął i już się dalej nie ruszył. Żył wspomnieniami odbytej kampanji — chodził, niemogąc w mundurze, w staroświeckiej czarnej czamarze z krzyżem *virtuti militari*, chustkę zawiązywał wysoko na duszce, z ogromnym fontaziem, bakenbardy miał podgolone w półksiężyce, wąsik wyszwarcowany do góry. trzymał się prosto i choć osiwiwały i zreumatyzmowany, choć na wsi osiadły, — zachował fizjognomję żołnierską, fizjognomię swej epoki, tak, że w nim każdy mógł poznać podkomendnego jenerała Skrzyneckiego.

W towarzystwie też. gdy chciał ludzi zabawić — nie umiał mówić o czem innem, tylko o historii swojego pułku i o kapralu. zwanym Motylem, który w jego oczach i z nim na spółkę cudów dokazywał.

Opowiadanie przeplatane francuszczyzną, major przy fajce i lampeczce wina przedłużał czasem do tak późnej godziny, że go spać trudno było położyć, gdy się raz w nie puścił. — Na wsi gospodarzył po żołniersku, na komendę, i szła mu gospodarka doskonale — ale stał się niesłychanym sknerą i choć na prawdę nie

wiedział dla kogo i po co tak zapalczywie zbierał, miał sławę nielitościwego dusigrosza...

Z księdzem prałatem widywali się ledwie raz w parę lat. Zaklika zapraszany, zawsze się wymawiał kosztami podróży i opuszczeniem gospodarstwa. Nareszcie zatęskniwszy za panem bratem starszym, bo go kochał, trzecią klasą, z jedną starą torbą włóczkami szytą, na której wyblakły stał napis *Souvenir*—zjawił się na kanonji. — Tu kilka dni nagadawszy się o starych dziejach,—powracał znówu do swego dworku i zagonów.

Gdy list od ks. Strużki odebrał major z wiadomością o śmierci brata, rozplakał się jak bóbr... Chciał spieszyć na pogrzeb. rozrachował jednak, że to było niepodobieństwem, odpisał, że jak tylko się urządzi (miał jeszcze len dosiać) natychmiast przybędzie... Jakoż w tydzień po pogrzebie zjawił się major z torbą i kopciuchem aksamitnym u guzika, mając nadzieję, że tu gdziekolwiek bezpłatne znajdzie pomieszczenie. Pokój pierwszy prałata, nieopieczętowany służył mu za nocleg, przegawędzili krótką noc wiosełą z Pawłem. Major oplakawszy brata, chciał się co prędzej pozbyć formalności tego spadku, po którym nie wiele się spodziewał.

Niech mu tam Bóg nie pamięta—rzekł do Pawła, najpocziwszy człowiek był, ale ntracjusz. Grosz się u niego nigdy nie pottrzymał... pierwszemu lepszemu ubogiemu oddał... Nie wielkie to tam rzeczy muszą być...

Nazajutrz rano major jeszcze przed małym zwierciadelkiem siwe wąsy czernił, gdy Paweł przybiegł oznajmując mu odwiedzinę prezesa...

Jakim sposobem o przyjeździe się dowiedział, było tajemnicą, — lecz o dziewiątej godzinie już się stawił. Major narzucił na siebie czamarkę, i z wielkimi oznakami uszanowania przyjął dostojnego gościa.

— Darujesz mi pan major dobrodziej — odezwał się prezes—że choć nieznajomy jestem mu natrętny. Dowiedziawszy się wypadkiem o jego przybyciu. nie mogłem na sobie przemódz, abym nie wylał na jego łono... żalu nad stratą, którą ponieśliśmy... Ś. p. praelat był dla nas więcej niż przyjacielem...

Przez kwadrans potem wzajemna wymiana grzeczności i nekrolog zmarłego zajmował obu panów... Major nie bardzo się prezesowi przypatrywał, bo go on nie wiele obchodził, prezes natomiast oczyma badał, wyrazy podsłuchiwał, starał się pilno poznać człowieka i jego słabości. Przyszło nareszcie do rzeczy — prezes troską zakłopotany oświadczył, że go tu też mały interesik sprowadza... że pewne tyczące się rodziny papiery prawdopodobnie musiały się znajdować między pozostałościami po praelacie.

Major nie widział w tem nic zdrożnego ani niebezpiecznego, by natychmiast przyrzec, iż one na żądanie wydane zostaną. Otrzymawszy tę obietnicę, prezes oświadczył się, iż urzędowe zdjęcie pieczęci może przyspieszyć i ułatwić i że radby sam aby się to jak najprędzej odbyło.

Tu dopiero major—mimo wielkiego poszanowania dla p. prezesa, widząc się tak przynaglany, trochę się zastanowił, trochę mn to się jakoś wydało podejrzanem i zbył ogólnikami... zaręczając że po

przejrzeniu papierów, te które się okazały należnemi rodzinie prezesa... wróci jej najchętniej.

Przybyły znać się czego innego spodziewał. nie śmiał już jednak nalegać, obrachował. że będzie wiedzieć o godzinie odpieczętowania i z nienacka się przystawi. W sądzie miał ludzi sobie oddanych... W tej więc nadziei tymczasowo majora pożegnał.

Właśnie go przeprowadzał Zaklika do wschodów, gdy nadbiegł żywo ks. Strużka. Z tego co mu zwierzył prałat łatwo się mógł domysleć o jaki chodziło depozyt... Niespokój prezesa umocnił go w domniemaniu. — Ledwie się za nim drzwi zamknęły, gdy on z kolei pana majora pociągnął za sobą...

Na komódce w pierwszym pokoju stał stary krucyfiks... Strużka zamknąwszy drzwi, poszedł milczący do niego i ujął go w ręce.

— Panie majorze—odezwał się—byłem przyjacielem zmarłego, jestem kapłanem, możesz zawierzyć słowu mojemu i uroczystej na tym krzyżu przysiędze, iż to co ci opowiem, prawdą jest szczerą...

— Ale na Boga żywego. *sacré nom...* odezwał się major, ja asindziejowi wierzę i bez tego wszystkiego—o co chodzi?

— Zapytaj kochany majorze, Pawła jeszcze dla lepszego dowodu... W wigilją śmierci nieboszczyk kazał mnie pilno przywołać do siebie. Znalazłem go oto w tym fotelu... ożywionym nad zwyczaj i podrażnionym... kazał mi drzwi zamknąć i zwierzył mi, iż pewna osoba, kobieta... nazwiska nie wymienił. ale się go z innych okoliczności domysleć łatwo—powierzyła mu papiery i pieniądze w depozyt dla oddania osobie, której on wynaleść nie mógł. Zaklinał mnie,

abyem przejął od niego te papiery; znając siebie nie podjąłem się—zbyt jestem roztargniony. Miałem mu nazajutrz wynaleźć człowieka... Ale w nocy prałat umarł...

Major słuchał z wielką uwagą...

— Mój mości dobrodzieju, jak tylko się co znajdzie co do mnie nie należy... to sobie zabieraj... ja nie przeczę...

— Tak, lecz czy o toż samo nie prosił cię prezes? Major wąsa pokręcił.

— Albo to jest w jakim związku?

Ks. Strużka począł mu coś szeptać na ucho.

Jeśli się nie mylę, a sprawdzić to będzie łatwo. idzie tu o los sieroty... o dowody urodzenia... prezes możeby je życzył zniszczyć, bo się z tem odzywa, że matka mogła nie być przytomną...

— Komplikacja jak pana Boga kocham! krzyknął major... nad moją głowę i rozum... Radźże mi kanoniku co mam począć...

— Niech ci własne dyktuje serce—odrzekł Strużka —ja mam tylko słowo moje—żadnych praw, żadnych dowodów... Proszę cię tylko ani świstka prezesowi, bez surowego rozpatrzenia przy świadkach, a gdy ja położę—veto.—

— Zgoda! zgoda! rzekł major... tylko żeby się ta kasza jak najprędzej skończyć mogła... Ja jestem żołnierz... finesów tych nie rozumiem... na prawo, na lewo, siecz — rąb, kół... a to... lisie drogi, któremi ja nie chadzam i łatwobym się zbłąkał. Pilnuj asiudziej sam...

— Tylkom sobie nabrał kłopotu...

Stało na tem, że przy rozbieraniu papierów i

jako delegat duchowny i jako przyjaciel zmarłego miał się ks. Strużka znajdować... Major dał słowo...

Wszystko to razem dokuczyło mu mocno. Właśnie major po bardzo skromnym obiadku od Kukiewicza przyniesionym. wąsy ocierał i fajkę miał zapalać, gdy prezes zjawił się z urzędnikami sądowymi... Ks. Strużki nie było.

Major prosił wszystkich siedzieć.

— Za pozwoleniem panów dobrodziejów — rzekł — ponieważ tu mają być i papiery do duchowieństwa należące, a ja się tam w ogóle na tem nie znam. uprosiłem sobie ks. kanonika do pomocy—i posłę po niego.

— To na próżno—odezwał się kwaśno prezes—niepotrzebnie zajmować czcigodnego kanonika, który ma inne zatrudnienie... jabym był z chęcią mu służył...

— Ale, proszę pana prezesa—dla duchowieństwa —niechże będzie! rzekł major.

Prezes milczący spojrzał na Zaklikę i siadł widocznie ubodnięty. Nie chciał tego jednak pokazać po sobie... Wysłano po ks. Strużkę, który przybiegł ze zwykłym pośpiechem. Przywitali się z prezesem daleko czulej, niżby się spodziewać było można. przynajmniej ze strony dostojnego pana.

Gdy wszyscy byli zebrani i gotowi, przystąpiono do złamania pieczęci i otwarcia drzwi. W dwóch pokoikach prałata wszystko tak jeszcze było rozrzuconem jak w chwili gdy ciało wyniesiono.

Paweł, służący na przewodnika, pokazał bióro, przyniósł szkatułkę, która stała pod łóżkiem i wskazał szafę na klucz zamkniętą.

Z niezmierną ciekawością otworzono naprzd szkatułkę, która się najważniejszą zdawała. Znale-

ziono w niej papiery urzędowe począwszy od metryki, świadczące o pracach nieboszczyka w ciągu długiego życia, wiele listów od różnych osób bardzo starannie porozdzielanych i powiązanych sznurkami, a w kryjówkach, dwieście czerwonych złotych obrączkowych z tak starą datą, że więcej pół wieku leżały nietykane. Był to zapas na czarną godzinę, która szczęściem nie przyszła.

Przetrzęsiona i rozpatrzona na wsze strony szkatułka nic więcej nie dała.

W biurku wiele szufladek było pustych, w innych dystynktoria. łańcuchy, orderzy, pierścienie, trochę starych monet, kilka pieczętek, dużo szpargałów, trochę papieru, w dolnych szufladach bielizna paradua lawendą poprzesypywana... nigdzie żadnego depozytu... żadnych papierów ni śladu.

Wśród milczenia, przerywanego półsłówkami, postępowano dalej z troskliwością wielką, wydobywając nawet serwety, obrusy, komże i alby... aby żadnemu zakątkowi nie przepuścić.

Komoda ta aż do ostatniej szuflady przepatrzona, zawiodła oczekiwania.

Pozostawała szafa zamczysta, od której klucz tkwił w zamku; jednakże po otwarciu jej na roścież... znaleziono w niej od góry do dołu książki napchane, nabite, pyłem przysute.

Ks. Strużka widząc że dotąd usiłowania odszukiwania papierów były próżne, podjął się przepatrzyć książki i dwie szuflady także pełne brewiarzyków i kancjonałów. Pomagał mu w tem Paweł. Sądzone, że tu się może kryje jaki zwitek lub fascykuł. Na-

próżno jednak wyrzucono biedne książki... nie było nic.

Prezes, major, ks. Strużka oglądali się po pokoju. zaczęto badać Pawła... stary się niecierpliwił tylko słysząc o papierach.

— Co za papiery! jakie papiery mają być? gdzie? Pełna ich przecie była szkatulka. Ś. p. prałat nie był także papierowy człowiek. a w ostatnich latach tyle tylko czytał, co na brewiarzu, bo go na pamięć umiał. Jak bywało list przyjdzie, co się rzadko trafiało. to posyła po kłeryka, żeby mu go czytał, bo już i okulary nie pomagały.

Prezes zaczął się po pokoju przechadzać, ręce założywszy pod połę. W ścianie była szafeczka... odemknęto ją... stało w niej trochę szkła i porcelany.

W stolikach pełno kalendarzy, na półkach znowu książki.

Przetrząsnęto tak oba pokoje. a prezes od niechcienia zajrzał pod poduszkę nawet—nie znalazło się już nic więcej. Ponieważ p. major, który dwiescie czerwonych złotych już był do kieszeni schował. był jedynym spadkobiercą, oddano mu do rozporządzenia ubogą prałata spuściznę — pięć tysięcy złotych na obligu i owe złoto a trochę ksiąg... całem były dziedzictwem.

— Ja się i tego nie spodziewałem—rzekł major...

Prezes stał milczący i pomieszany. Wypadało mu odejść—a obawiał się jeszcze... Wieczór się robił, gdy w końcu pożegnał p. majora i z kwaśną miną, straciwszy cały dzień—powrócił zawiedziony...

Gorzej jeszcze było z ks. Strużką, który wiedział z pewnością o depozycie, a doszukać się go nie mógł,

Major oświadczył, że ruchomości, jako człowiek niemajątny sprzedać musi...

Gdy wszyscy wyszli, kanonik pozostał z nim sam. Jęknął biedny.

A! Boże mój. Boże! zawołał ręce łamiąc — gdy kto jak ja słyszał z tych pocziwych ust starca z trwogą śmierci wymówione słowa... Bierz! bierz ten ciężar odemnie, aby mi brzemieniem nie leżał na duszy!! — a potem własny błąd chce naprawić i szuka, a szuka nadaremnie, chce się krwawemi płakać łzami...

Powiadam panu majorowi ten depozyt tu być musi, on tu jest!!

— A noc bardzo wierzę—ale gdzież? gdzież? przetrzęśliśmy wszystko...

Paweł stał także smutny z daleka u proga.

— Już. proszę państwa — odezwał się — nikt lepiej nie znał obyczajów i zwyczajów ks. prałata jak ja bo on dla mnie żadnych tajemnic nie miał... Pieniądze rozchodowe chował do biórka... szkatułki od lat może sześciu nigdy nie dobył. W ostatnich czasach mało co się i ruszał...

— A nie przypominaszże sobie. podchwycił Strużka, owej nocy. gdy go chorego już wezwano do ś. p. prezesowej i gdy potem powrócił. nie przywiózłże co z sobą? gdzie schował?

Paweł się zamyślił.

— Jak dziś pamiętam, odparł.. wielka była bieda z tą podróżą. Jeździł z nim ks. Lacki, który wioził św. sakrament... i oleje. Prałata musieliśmy do karet wy dwóh sadzać i to jeszcze stękał... Cały dzień tam bawił, nazajutrz dobrym już mrokiem powrócił... Czekaście państwo... A ha! gdy po wóz za-

jechał, zbiegłem na dół... wprowadziliśmy go strasznie osłabionego na wschody... Odpoczywał u progu, potem w pierwszym pokoju... potem wszedł oto tu... oparł się na stoliku...

A! czekajcie panstwo! tak! tak! dobył prawda z za sukni spory plik papierów opieczętowanych i położył oto tu—na stoliku... Posadziłem go na krześle. Kazał sobie herbaty zrobić... więc do kuchni zszedłem, a gdym powrócił, żeby na tym samym stoliku nakryć do herbaty... już żadnych papierów nie było, toć bym zapamiętał... Do szkatułki ich nie schował, bo by sam nawet dostać jej nie mógł, do biórka też nie, bo klucz od biórka mnie zostawił na przypadek gdyby tam dłużej zabawić musiał, żebym mu dobył pieniędzy i przysłał...

— Aleć tu żadnej więcej schowanki nie ma! zawołał trochę zniecierpliwiony major — cóżby się z papierami stało?

Paweł ruszył ramionami, ręce roztworzył i rzekł prawie gniewnie.

— Już przecie ja ich nie zabrałem!

— A nikomu to na myśl nie przyjdzie — uśmiechnął się Strużka... a no — gdzieś to się znajdzie, może we sto lat, gdy się już nikomu na nic nie przyda...

Major fajkę zapalił.

— Mój kanoniku — odezwał się wstrzymując go rękę—pomóżcie mi, ażebym się pozbył tych ruchomości —chciałbym do domu powrócić... Co my z tem zrobimy! Sprzedaćby to hurtem... czy co? a nie, to choć zlicytować... Na pamiątkę sobie precjoza zatrzymam... Z książek tylko jeden brewiarz, na którym się modlił nieboszczyk... resztę sprzedajcie, proszę...

Nie będę się drożył... byle cokolwiek grosza wpłynęło, aby się choć koszta pogrzebu opłaciły.

— O tem już jutro pomyślemy... rzekł ks. Strużka— nie wielkie to rzeczy i nie trudne.

— A pan Paweł jeśli się mojego wiejskiego krupniku nie boi... proszę ze mną do Karczówki... będziemy razem lepsze czasy rozpamiętywali...

Paweł do nóg mu się skłonił...

— Nie gardzę ja łaską pana majora, a no człek do tego kościoła i do tych kamieni przyrósł... trudno się na starość oderwać. Niechbym tu już i kości położył... westchnął stary i łzę otarł.

W parę tygodni po opisanych wypadkach znowu był wieczór u prezesa, a że tu nigdy na gościach nie zbywalo, i tego dnia salon się o godzinie ósmej napełnił. Wedle niezmiennej formuły. gospodyni zawsze siedziała na tem samem miejscu. choć suknię miała inną a niemniej smakowną; gospodarz stał w pośrodku pokoju, aby być gotowym na powitanie gości. Byli to po większej części starzy znajomi i przyjaciele; w gronie pań czarno nbrana siedziała pani doktorowa zamysłona. obojętna i nie zdająca się wielkiej zwracać uwagi na to. co się w koło niej działo. Niekiedy tylko spoglądała ukradkiem to na gospodarza. to na gospodynię i z pod oka śledziła wyraz ich twarzy. Dla mniej znanych nie straciły one tego dnia ani zwykłego spokoju, ni wdzięku, uśmiechały się zimno i grzecznie, nie dając sobie zajrzeć do głębi duszy. Wprawne tylko oko starej znajomej mogło w prezesie dostrzedz pewne zniecierpliwienie, które się zdradzało ruchami mimowolnymi i błyskiem źrenic pełnym gniewu; a w prezesowej zwiększonej dumy i napuszo-

nego majestatu, przypominającego gniew słnszny owego ptaka, który im się bardziej gniewa. tem szerzej skrzydła rozpuszcza. Coś było w powietrzu takiego, o czem mówić nie dozwalała przyzwoitość. a co kamieniem ciężło. Mówiono o rzeczach obojętnych i w sposobie rozbierania ich czuć było namiętność, gdzieindziej zrodzoną, która teraz przechodzi we wszystko. czego dotknięto. Wieczór wedle programu się odbywał, naprzód rozmowa jedna koło kanapy i owalnego stołu w kółku prezesowej, druga w otoczeniu prezesa wśród salonu. Potem podano herbatę, dla której wszyscy posiadali, gdzie kto mógł, nareszcie w drugim saloniku trochę muzyki, a dla grających dwa stoliki whista. Prezes nie był whista wielkim miłośnikiem, grywał tylko w cudzych domach. bo to go uwalniało od rozmowy czasem uciążliwej—u siebie w domu, jako gospodarz, nie siadał nigdy. przechadzał się i bawił tych, którzy nie grywali. lub udawał, że słucha muzyki. której ani lubił. ani rozumiał.

W chwili gdy wszystko się wedle należytego porządku rozłożyło, a prezes z rękami pod frak zasuniętymi przechadzał się po salonie frasobliwie zadumany: doktorowa, która także nie zajęła miejsca, zwolna i niby przypadkowo zbliżyła się do niego. Bardzo grzeczny dla niej, prezes jednak nie mógł tego utaić, że jej nie lubił—a im mniej lubił. tym więcej się starał okazywać grzeczniejszym.

— Pani widzę jak ja nie bardzo muzykalna? spytał stojąc.

— Owszem, lubię muzykę, ale gdym do jej słuchania usposobiona, co mi się nie zawsze zdarza—rzekła doktorowa.

— Mnie ona nie robi przyjemności, a okrutnie działa na nerwy—odezwał się prezes—drażni...

Spojrzeli po sobie milcząc—w istocie gospodarz tłumił z trudnością wyraźne zniecierpliwienie.

— Lato w naszym miasteczku jest nie do zniesienia—dodał—proponowałem Żulicie, żebyśmy raz gdzie przecie pojechali się rozerwać... nad brzegi Renu... do Włoch... gdziekolwiek...

— A ona?

— Nie chce dzieci samych zostawić! Jest to wzór matek! rzekł chłodno prezes...

— A ty mój prezesie, najszczęśliwszym z małżonków, dołożyła doktorowa, powinienes rano i wieczór dziękować Bogu, iż inaczej się nie ożeniłeś. Ta kobieta stworzoną była dla ciebie...

Niedostrzeżonej ironji w głosie doktorowej prezes, jak się zdaje, nie podchwycił, spojrzał tylko niepokojnie na mówiącą, jakby niedowierzał tym pochwałom. Doktorowa mówiła bardzo serjo.

— Powinienes i za to dziękować Bogu, że ci się twa pierwsza miłość nie poszczęściła...

Prezes cofnął się jak oparzony.

— Pierwsza? jaka? o żadnej nie wiem. To moja pierwsza i ostatnia!

Doktorowa zaczęła się śmiać...

— Jak to się rzeczy te łatwo zapominają i jak łatwo wmówić sobie potem, że to, co było — nie istniało... A nie kochałeś się zapamiętałe w Toli, którą ci ten nieszczęśliwy Tadzio?...

Śmiałe to wystąpienie tak straszny obłok na twarz prezesa naciągnęło, że doktorowa spojrzawszy

nań, nie dokończyła... Schwycił ją za rękę gwałtownie i począł bardzo serjo i gniewnie.

— Jeśli mi pani co dobrego życzysz. proszę, błagam—obliguję—tych dwóch imion nigdy w domu moim nie wspominać...

Prośba ta bardzo była do nakazu podobna i dla tego doktorową oburzyła...

— Nie wiedziałam, rzekła z pół uśmiechem. że ci imiona dawniej tak uwielbianej istoty i tego, którego nazywałeś bratem. tak mogą być przykre...

Prezes się uniósł i pochwycił za obie ręce stojącą przed nim doktorową.

— Ja, jego bratem... rzekł stłumionym głosem—bratem... Pani! pani mi chcesz przykrość chyba uczynić...

— A! zlituj się, to nie jest w mojej naturze, odezwiała się spokojnie kobieta — przykrościbym ci uczynić nie chciała, lecz radabym wiedzieć ostyglejszym i nie tak gorąco biorącym... co się odwrócić nie może!

— Nie! rozumiem, szybko wtrącił prezes. cóż się to odwrócić nie może? Na co ja mam ostygłym być! Ja o niczem, co się tyczy tego człowieka wiedzieć nie chcę... Dosyć niewdzięczności doświadczyła od nich obu i ojca i syna, rodzina moja. Jak węże wcisnęli się pod dach nasz, odgrzaliśmy te źmije na to, żeby nas potwarzą kęsały...

Prezes był cały wzburzony, doktorowa patrzyła nań zimna i nieporuszona.

— Wiesz zapewne, że Teodor Murmiński od kilku dni tu jest...

— Wiem — wiem... żywo zawołał gospodarz. . i gotowaś go pani, krewna mojej żony, nasza... w domu swoim przyjmować?

— Nie wiem, kochany prezesie, dla czegobym mu drzwi moje zamknąć miała? Przecież niczem się nie skalał! zbrodni żadnej nie popełnił. Nie winien pewno temu, iż go Ś. p. prezesowa dzieckiem wzięła na wychowanie. ani mógł zapobiedz temu, bo to wam przykrem nie było

Purpurową stała się twarz dostojnego pana.. milczał... z postawą dumną, odezwał się odzyskując panowanie nad sobą.

— Ani słowa o tem, ani słowa! Nie chcę o tem wiedzieć że żyje... nie wiem o nim, nie znam go.

— Boleję nad tem, kochany prezesie, mówiła nieporuszona kuzynka. Mojem zdaniem, choć to jest tylko zdanie kobiety, nie dobrze może znającej stosunki wasze — mojem zdaniem masz pewne obowiązki dla tego wychowanka twej matki... a łatwo, bardzo łatwo pewnemi względami mógłbyś go sobie pozyskać!

— Ja! jego! chcieć sobie pozyskać? z gorzkim ironji wybuchem wołał gospodarz. — Pani chyba nie znasz lub z umysłu nie chcesz zrozumieć mojego położenia... Muszę więc z nią mówić otwarciej, niżbym chciał, niżby należało... jesteś pani naszą krewną, a i to wkłada na nią pewne obowiązki... Czy pani wie co z tego ukuto że zacna, czcigodna matka moja wzięła dziecię guwenera na wychowanie?? — Rozpuszczono wieść, że za niego wyszła. że była jego żoną, i że p. Teodor ów... był jej synem, a moim przyrodnim bratem, że ja wiedząc o tem pokrzywdziłem go na majątku, że dowody jego pochodzenia zniszczyłem...

Doktorowa słuchając ruszała ramionami i uparcie patrzyła mu w oczy.

— A to wszystko — spytała zimno i badawczym ścigała go wzrokiem — było naturalnie bajką i wymysłem?

Pytanie tak wprost rzucone z rodzajem wątpliwości poruszyło prezesa.

— Znałaś pani moją matkę — zawołał — kobieta jak ona nie potrzebowała i nie mogła się taić z tem co czyniła... Ale miała chorobliwą czułość, słabość nie wytłumaczoną dla tego... dla tego trutnia — dodał gospodarz... a on ją umiał wyzyskać... i dziś nie bez celu się tu zjawił zapewne... chce mnie zmusić do ofiar, chce mnie obedrzeć...

— Mnie się nie zdaje, żeby miał tę myśl — przerwała kuzynka... mylisz się. — Gdzież się ten człowiek ma podziąć? tu się wychował, tu źródło — jest rzeczą naturalną, że tu szuka przytułku i pracy. Profesor Kudelka, który się nim zajmuje, mówił mi, że mimo nieszczęść, jakich doznał i złamania na duszy i ciele, człowiek jest zdolny, a bierze się do pracy gorąco...

Śmiech dziwny, szyderski prezesa rozległ się aż nadto głośno po sali.

— On, do pracy!! I pani temu wierzysz! Ten stary głupiec łatwowierny, którego wszyscy zawsze oszukiwali i oszukują... Kudelka i Kudelka pani mówił! To zdziecinniały starzec...

Odetchnął prezes, ale nie dając ust otworzyć doktorowej mówił dalej.

— Nikt lepiej nademnie nie zna tego człowieka, który wstręt i ohydę zawsze budził we mnie... Utrącajusz, fanatyk, pieśczocho, dziwak... zarozumialec, do niczego... Sądzi się godnym najwyższych przeznaczeń... a dwóch dni wytrzymać przy jednym nie umie!

Przerwał sobie prezes — potrząsł głową, poruszył się cały jakby ze wstrętu — i zwrócił oczy na doktorową. która z rękami założonemi, nieruchoma, zimna, nie dzielając wcale jego uczuć — stała i mierzyła go wzrokiem ciekawym.

— Mnie się zdaje, kochany prezesie, odpowiedziała — że tyś się uprzedził przeciw niemu. Nie przeczę, że natury tak różne jak wasze, nie łatwo sobie sprawiedliwość oddać mogą — wy — tak surowo, chłodno, rozumnie biorący życie — on tak gorąco i namiętnie. A koniec końcem, jest to bardzo biedny człowiek — i dla tego samego, wiele by mu przebaczyć można.

Mój prezesie — dodała — gdyby ci ludzie tak zli byli — czyżby z dobroci prezesowej nie potrafili byli korzystać? Jestże to вина. że ludzie sobie jakąś tam — jak powiadasz, bajeczkę wysnułi?

— Kochana pani — przerwał prezes — gdybyśmy o czem innem zaczęli?

Głos mu drzał, i choć niby chciał to wyrzec obojętnie. namiętność grała w jego dźwięku... i gniew nieprzebragany.

— O czem innem? rozśmiała się nielitościwa kuzynka. — Chcesz, bym ci opisała jak teraz wygląda Toła, w jaki sposób się zmieniła, jak na nowo wypiękniała, ile w niej rozumu, powagi, talentów...

— Widzę, żeś pani dziś uwzięła się na mnie — zawołał gospodarz — uznaję się zwyciężonym i opuszczam plac.

To mówiąc. skłonił się z przesadzonym uszanowaniem i powołał odszedł. Doktorowa z równie karykaturalną powagą niski oddała mu ukłon.

Weszła potem na chwilę do saloniku, w którym brzmiała muzyka... postąpiła przy progu i nieznacznie, jakby przechadzając się zmierzyła ku drzwiom. Prezes, który zdawał widział ten manewr doskonale, znać rozmyślił. ochłoniął i nie dając jej wymknąć się z salonu, pośpieszył ku niej. — Już u progu chwycił ją za rękę.

— Kochana kuzynko — szepnął jej wzruszony — nie odchodź pod wrażeniem tej rozmowy, dwa słowa jeszcze... Jesteśmy krewni... widzę, żeś pani usposobiona zbyt litościwie dla osób, które mnie zawsze prawie nienawisć i otwartą niechęć okazywały. Nie łącz się pani z niemi, nie chcę w niej mieć także nieprzyjaciółki.

— Mylisz się, panie prezesie, odpowiedziała doktorowa... nie macie oboje pewnie życzliwszego serca dla siebie nad moje. *Mais je n'épouse jamais, quand même,* spraw ani rodzinnych, ani przyjaciół — staram się je poznać, zgłębić — i kieruję się mojem własnem przekonaniem. A przekonanie to dyktuje mi radę i życzenie, abys był dla nieszczęśliwego względniejszym.

— Wierzę, iż to życzenie pochodzi z najlepszego serca — lecz zarazem przekonywa mnie, że pani nie znasz mojego położenia, ani przeszłości... Ten człowiek...

Doktorowa zbliżyła się do ucha:

— Gniew twój prezesie dałby mi do myślenia — żeś mu jeszcze Toli nie darował. Jeśli kochasz Żulietę, możeszże na to tak być czułym?

— Cóż za przypuszczenie!

Z życia awanturnika. T. I.

Doktorowa śmiejąc się pogroziła mu na nosie, dygnęła i szybko wyszła.

W przedpokoju, dokąd ją grzeczny gospodarz przeprowadzał, spojrzała na zegar... nie było jeszcze dziesiątej, cicho coś szepnęła służącemu i powóz potoczył się ciemnymi, pustymi dosyć ulicami ku jednemu z większych hotelów.

Tu w kilku pokojach pierwszego piętra mieszkała jeszcze panna Tola, która choć wybierała się za granicę — przez jakiś niezrozumiały kaprys, a o to, jak mówiono, nie było u niej trudno — pozostała w mieście dłużej daleko, niż była zamierzała. Doktorowa obiecała jej, że odbywszy pańszczyznę u prezesostwa, zajedzie do niej na resztę wieczora.

Mało osób przyjmowała zwykle piękna panna, chociaż się zawsze dosyć cisnęło do jej salonu. Przystęp był trudny — umiała ze zbytnią może otwartością pokazać tym, którzy się jej nie podobali, iż im nie bardzo będzie rada. Nie mogła się znać obronić tego wieczora od kilku salonowców i doktorowa przybyła właśnie na chwilę, gdy ci panowie stojący z kapeluszami w rękach, w liliowych rękawiczkach, w całej formie urzędowej przystępowali do podanej herbaty... Tola siedziała dosyć zundzona na małej kanapce i zobaczwszy dobrą przyjaciółkę żywo się rzuciła ku niej. Był to w tej chwili gość wielce pożądany. bo rozmowa zaczęła z suchot umierać. — Szepnęły sobie coś na ucho...

Usłużna towarzyszka Toli zagadywała tymczasem kawalerów, aby swą wychowanicę oswobodzić.

Ci panowie byli to dawni adoratorowie Toli. z których każdy po parę razy grzecznie został odpra-

wiony, a pomimo to trwał w czci dla ideału w nadziei, że się on postarawszy, nad stałą miłością ulituje. Na to się jakoś nie zanosilo. Tola miała zwyczaj względem takich upartych, być coraz, a coraz zimniejszą, a wszelką aluzję najdalszą do uczuć gorących zbywała nielitościwem milczeniem.

Po herbacie panowie ci. widząc gospodynię zajętą przyjaciółką i zrozpaczywszy o oderwaniu jej — pożegnali się i wyszli — Tola wstała uśmiechnięta i rozpromieniona.

— A! przecież! zawołała — *ils sont charmants*, ale znakomicie nudni.

— Ja także przychodzę przesiąknięta atmosferą salonu prezesostwa... i nie bardzo zabawić cię potrafię — odezwała się doktorowa... aż mi wstyd jaka dziś byłam nielitościwa i zła...

— Wy? a! cóż to było!

— Tego ci powiedzieć nie mogę — ale — aż rozgniewałam prezesa...

— Czem?

— Mogę śmiało mówić?

Tola się zarumieniła, obejrzała na towarzyszkę, drgnęła.

Cóż to tak strasznego?

— Coś nad co w świecie straszniejszego nie ma — widmo wspomnień...

Gospościa udawała, że prawie nie słucha...

— Mogłabym prawie przysiąc, że prezes, szczęśliwy mąż Żuljety, kocha się jakoś do dziś dnia w pewnej — pewnej pannie! nie powiem w kim! Takby przy najmniej wnosić należało z tego, że dotąd przebaczyć

nie może. rywalowi. choć i tamten szczęśliwszym od niego nie był.

— Zagadkami dziś mówisz—mruknęła Tola.

— Ty ją łatwo odgadniesz...

— Zkądże o tym rywalu mogła być mowa...

Tola zwróciła oczy przymglone ku doktorowej, która zawahała się z odpowiedzią, spuściła głowę i zamysliła się — potem jakby ją coś natchnęło odwagą — odezwała się.

— On tu jest!

Trzy te słowa, proste. wymienione chłodno—bez wzruszenia, zrazu zdawało się na Toli nie czynić żadnego wrażenia... nie ruszyła się, nie drgnęła... skamieniała... Z bukietu, który leżał na stoliku wyrwała kwiatek i nie mówiąc nic wzięła kończyk jego w usta. Doktorowa śledziła wyraz jej twarzy... czekała odpowiedzi... lecz w tejże chwili Tola zapytała...

— Proszę cię nie wiesz też na pewno, o której odchodzi pociąg do Kolonji?

— Chciałabys jechać...

— A! bo tak nudzę z tym wyjazdem, że moja dobra Teressa już się ze mnie śmieje. Stałam się leniwą, ociężałą, i, co nigdy nie bywało, grzeszę brakiem decyzji. Wyjeżdżamy codziennie... i każdego dnia wyjazd odkładamy do jutra...

— Pociąg do Kolonji—jeśli się nie mylę, odezwała się doktorowa, odchodzi o szóstą z rana — ale sprawdzić nie łatwiejszego... Zadzwoń na kelnera. oni to na pamięć umieją...

Tola wzięła za dzwonek... kelner wbiegł z wielkim pędem... a był to kelner elegant, wyfryzowany, piękny, wykryzowany, który gdy raz mówić zaczął koń-

ca się trudno było doczekać—popisywał się z polyglotyzmem swoim...

Pociąg odchodził o szóstej.

Cywilizowany kelner zapytał. czy hrabina jutro już chce osierocić miasto...

— Jutro—nie... Zresztą nie wiem! dam znać! odpierała odprawiając go Tola... Rozmowa o podróży. kolei, wyborze i t. p., potrwała z kwadrans. gospodyni z żywością trochę zapożyczoną i wesołością nienaturalną brała w niej udział bardzo czynny. — Doktorowa była milczącą... W tem panią Teresę odwołano i zostały same, Tola obejrzała się za odchodzącą i siadła przy swej przyjaciółce chwytając ją za rękę.

— Moja droga — odezwała się — nie posądzaj mnie ani o żadne uczuć resztki, bo w ogóle rzeczy odgrzewanych nie lubię, ani o prostą, głupią dziecinną ciekawość — chciej zrozumieć. że najobojętniejszych, los człowieka. którego się niegdyś znało — obchodzi. powiedziałaś — on tu jest... powiedz mi... co się z nim dzieje...

— Tolo moja droga... biorąc ją z kolei za rękę — drżącym głosem zaczęła doktorowa — dzieci się często napierają widzenia rzeczy. od których mdleją ze strachu...

— Ja nie jestem ani dzieckiem. ani tak wrażliwą jak sądzisz, błędniejąc zaczęła panna... mów śmiało...

— Każesz—oszczędzać cię nie będę — rzekła doktorowa... Dni temu kilkanaście profesor staruszek. którego widziałaś u mnie, wyszedł bardzo rano na botaniczną wycieczkę na porzecze... Był właśnie najmocniej zajęty swemi ulubienicami. znalazłszy jakiś pyszny egzemplarz *Solanum*, nie wiem już którego,

gdy go szelest dziwny o tej porze rozbudził... Pod starym dębem, młody jeszcze człowiek, w łachmanach, odarty, z twarzą wybladłą przymocowywał właśnie stryczek, na którym się miał obwiesić...

Tola z krzykiem załamała ręce...

— I to był on! on! a! to być nie może!

— To był on, albo raczej ruina tego człowieka. którego cierpienie złamało i do rozpacz przywiodło... Ten jeden wypadek powiada ci wszystko—dodała doktorowa—więcej już nie masz mnie o co pytać.

Z pięknych oczów Toli polały się niepowstrzymane łzy, ani myślała się ich wstydzić w tej chwili. ani kryć z niemi...

-- Ten świetny, wesół, zuchwały... dowcipny Todzio, ten pieśczołoch i ulubieniec pocziwej prezesowej—ten —a! mój Boże... ja nawet wystawić sobie tego nie umiem... Widziałas go?...

— Z daleka — w ulicy — wygląda jak widmo. lecz gdyby był smutny, gdyby udawał Manfreda, grał jakiegoś Gustawa, czy Konrada—możeby mi się wydał politowania godnym i śmiesznym. Tak nie jest... Uduje wesołego i bardzo szczęśliwego — a od tego serce się kraje.

— Cóż on tu robi?

— Pocziwy profesor, który go uratował, karmił go podobno dotąd, pozostawiawszy zegarek. łańcuszek i co tylko mógł u żydów — stara mu się o jakie umieszczenie, jaką robotę.

— Więc prezesowa nie zostawiła mu nic?

— Ani nawet wspomnienia—dorzuciła doktorowa—zresztą jest to jakaś tajemnica. W ostatniej chorobie wzywała ks. Jeremiego, a po nim, gdy oto niedawno

umarł, nic się nie znalazło... i gdyby co było, prezes tam dobrze pilnował...

Tola przeszła się po pokoju, aby ukryć wyraz swej twarzy, który oczy przyjaciółki śledziły... nie miała siły mówić.

— Ruina człowieka—intelligencji—serca—ducha .. a! jak to okropne... widzieć ten boży kwiat zdeptany nogą, zwalany może błotem. skrzywiony na złamanej lodydze... czy jest co smutniejszego na świecie... Pokrzywy bujają pod płotem... a.. oni — zawołała nagle stając przed doktorową...

Przyjaciółce także łzy się w oczach kręciły... chciała już odwrócić rozmowę.

— Jedziesz—kiedy? zapytała.

— Nie wiem—nic już nie wiem—cicho odezwała się Tola trąc czoło jakby z niego myśl. natrętną muchę, spędzić chciała... Możnaż tak... człowieka złamanego rzucić bez opieki? godziż się...

— Przyznam ci się—szepnęła doktorowa—jeździłam dziś umyślnie do prezesa, chciałam w nim obudzić jakieś uczucie obowiązku.

Tola rozśmiała się szydersko.

— A! jakżeś ty naiwna! W nim!!

Zawstydzila się sama swej popędlivosti i poprawiła.—A cóż prezes?

— Potrafiłam go tylko do niewidzianego pobudzić gniewu... nic więcej...

— Wiedział już o nim!

— Niestety...

— Moja droga—odezwała się Tola—radźcież z waszym profesorem dokąd się ma protegowany wynosić—bo nie sędzę, żeby mu tu dano побыć długo.

Żywo zaczęła chodzić po pokoju... widocznie walczyła z sobą... zrywała się coś mówić i nie śmiała, a rumieniła...

— Pojutrze wyjeżdżam — zawołała — tak — ale jutro—droga moja... ja mogę u ciebie być przypadkiem. rozumiesz mnie... a ty mogłabyś tego dnia mieć u siebie profesora z jego—protegowanym.

— Jeśli ten protegowany gdziekolwiek być raczy—profesor mi mówił, że się wyrzekł i zarzekł towarzystwa. Właśnie go chciałam mieć u siebie przez nie-szczęśliwą ciekawość kobiecą. — Wiesz co na zaproszenie odpowiedział profesorowi?

— Cóż przecie?

— Powietrze salonów nie zdrowe dla mnie. ubogi sierota. proletariusz, włóczęga, po co mam tam iść, gdzie mnie z łaski i miłosierdzia przyjmować będą? Nie mogę...

— Moja droga—przerwała Tola—ja nie rozpaczam dla tego—tyś kobieta, powiinasz na to znaleźć sposób, ażeby on był u ciebie, gdy ja cię o to tak pięknie proszę...

Uściskały się—doktorowa wyszła. a Tola rzuciła się. twarz rękami zakrywszy, na kanapę.

*

*

*

Nie ma na świecie piękniejszych instytucji nad zakłady miłosierdzia—lecz smutniejszego nad nie widoku trudno znaleźć na świecie. Nieszczęsny ten porządek wymaga, aby ludzie byli przekładani pod numerami w salach, które przypominają fabryki... aby ich łóżka stały w systematyczne rzędy ustawione, jak szuflady wielkiej kolekcji okazów naukowych. Chory przestaje tu być człowiekiem. staje się numerem i chorobą. Przepraszam za porównanie, — jak zwierzęta u żłobów leżą ci nieszczęśliwi. opuszczeni, zdani na ręce obce... a nawet pociecha religijna przychodzi tu tak samo, jak porcja bulionu. Jest coś na wszelki wyraz smutnego w tem zbiorowisku istot, których nic nie łączy z sobą oprócz, wspólnej niedoli.

To coś nakształt pourywanych liści od kwiatów tysiąca... i złożonych dla jakiegoś experimentu... z każdej rodziny po listku... a wieleż z tych liści na pół zeschniętych — zapomniało o kwiecie, do którego wieńca należały?? To też gdy nad takim łóżem samotnem. przedostatnią pościelą człowieka, żywym grobem, który ona zwiastuje, ujrzy się pochyloną twarz tego anioła pociechy, który się zowie Siostrą Miłosierdzia — gdy się słyszy szept łagodny, co choremu przypomina głos matki, siostry lub żony, gdy taka kapłanka zatrzyma się dłużej u zapomnianego kątku, w którym ból słowami pociechy — któreżby oko łąz wzruszenia nie zaszło a serce i wciąż nie uderzyło?

Są między ludźmi anioły...

Taki właśnie anioł, chociaż w bardzo skromnej i niepozornej postaci, bladej, niemłodej, zwiędłej od pracy i pokaszlującej niewiasty w białych osłonkach Siostry miłosierdzia—stał u łóżka, na którym złożono tylko co starego człowieka. wyglądającego tak, jakby za chwilę miał skonać.

Człowiek ten, którego w jakiejś lichej gospodzie na gościńcu miłosierny znalazł chłopiec i odwiózł do szpitala — stary już był, schorowany. wyżółkły, a sił w nim już ostatek niepotrzebnie przytrzymał resztkę życia, aby cierpiał dłużej. Ciężki oddech gorączkowy. przerywany kaszlem suchym, świszczącym. poruszał gwałtownie wymęczoną piersią jego, za każdym paroksyzmem kaszlu zimny pot występował mu na pomarszczone czoło i ręce kościste chwytaly kołdrę konwulsyjnie, jakby szukały podpory. Obląkanym wzrokiem to rzucił po sali. której zdawał się nie widzieć, to znówu zamykał oczy i jakby gorączkowym snem usypiał.

Siostra Hilarja próżno stojąc przy nim, choć słowo z niego dobyć chciała; dobywały się tylko westchnienia—człowiek ten chciał już umrzeć, a nie mógł.

Obok łóżka. na którym spoczywał, leżały jeszcze nieschowane dotąd węzełki. które z nim przywieziono razem i zrzucono z niego nędzną odzież, gdy szpitalną przywdziewał. Po tych przyborach podróżnych. po wytartym kiju. który chłopiec zabrał i złożył razem z rzeczami, poznać było łatwo. że długą przewędrował drogę, nim go tu rozbitka choroba rzuciła na ostatnią skałę. na której miał skonać...

Siostra Hilarja widząc, że sama nie poradzi

z nim nic, pospieszyła po lekarza zakładu... Siwy, z krótko ostrzyżoną głową, okrągły człowieczek przytoczył się do łóżka. Na rumianej jego twarzy nie malowało się żadne uczucie — obyty był z cierpieniem, jak z koniecznością życia... Przyszedłszy do łóżka stał i słuchał oddechu naprzód, potem rękę wychudłą dobył i choć mu się wyrywała, puls śledził, potem dłoń przyłożył do czoła, głowę do chrzęszczącej piersi chorego.

Spojrzał na siostrę stojącą w milczeniu i ramionami lekko ruszył.—

— Dajcie mu najprzód trochę rosołu... być może, iż jest głodnym... a potem coś chłodzącego, a potem—zobaczemy...

Człowiek stary — dodał — sił tam już mało, choć budowa mocna... ale któż wie co przebył i przecierpiał...

Z pomiędzy białych poduszek, na których z siwym, rozrzuconym włosem spoczywała głowa chorego, maska jego wyglądała jakby z wosku wylepiona... piękny rysunek twarzy szpecił tylko włos siwy okrywający ją, dziko odrosły przez kilka tygodni... krzaczystych brwi dwoje zwieszały się nad głęboko wpadłe oczy... Usta w bezzębnej już szczęcie, wpadłe—istnie miały wyraz jakiś dziwny rezygnacji i bólu razem.

Twarz uszlachetnionej, myślącej istoty zdawała się należeć do człowieka, który wyszedł z tych klas społeczeństwa, co nie samą rączną pracą dorabiają się chleba. Wysokie czoło wypukłe zdawało się myśli pełnem... marszczki na niem mówiły o pracy, co je pofałdowała... a jednak ubiór nędzny, tłómczek odarty,

oznajmował wyrobnika, którego wiek i bezsilność na rozdroże konać rzuciły.

Kto on był, ani chłopiek nie wiedział, ani przejrzenie powierzchowne tłómczka nie uczyło — mówił tylko ten co go do szpitala odwiósł, iż słyszał od karczmarza, że podróżny ten zdrożony i chory przed paru dniami się przywłókł, chciał koniecznie dojść do miasteczka, ale na noc położywszy się w alkierzu, dostał jakiejs gorączki i tak tam dni parę przeleżał.

Toboly jego przejrzawszy znać gospodarz i nie znalazłszy w nich nic, pozbył się za kieliszek wódki, namówiwszy chłopka miłosiernego, by go sobie zabrał do szpitala.

Gdy siostra Hilarja przyniosła filiżankę bulionu, a przyszła nim go napoić, musiała kogoś wezwać, co by mu głowę pottrzymał... Zaciśnięte usta i szczęki nie wpuszczały napoju zrazu, potem z trudem wiano mu go łyżek kilka... Parę razy oczy otworzył, powiódł niemi do koła i znowu je zamknął... Buljon o tyle poskutkował, że chory powoli usypiać zaczął... Budził go ów kaszel, lecz i ten zdawał się nśmierzać.

Przez całą prawie noc przesiedziała przy nim troskliwa siostra... nic się jednak w stanie jego nie zmieniło i z rana chory spał jeszcze... Wielkie znużenie natura snem wynagrodzić chciała. Doktor znalazł małe polepszenie...

Dano mu znowu buljonu trochę, próbowano przemówić, głos tylko powieki mu otworzył, ale z ust nie dobyto słowa... Zasnął jeszcze...

Tego dnia właśnie przypadały urzędowe odwiedziny szpitala przez Towarzystwo Dobroczynności, które do utrzymywania jego się przyczyniało. — Cho-

ciaż instytucja nie lękała się tego nadzoru w dnie powszednie, zawsze jednak musiano trochę wystąpić przed dostojnymi gośćmi.

Chorzy dostali wszyscy świeżą bieliznę. sale przewietrzano starannie, aby powietrze zamknięte nie raziło dostojnych nerwów, wszystko przybrało wesejsze i świąteczne oblicze. — Siostra Hilarja chciała nieco pokaźniejszym uczynić swojego chorego, lecz stan jego oparł się wszelkim pokuszeniom jej — a dobroczynnego snu, którym go ratowała natura, niepodobna było przerywać. Została więc ta żółta głowa na białych poduszkach ze swym wyrazem bólu i charakterem, jaki ją wśród innych wybitnie odznaczał... każdy z patrzących uderzonym być musiał twarzą. którą myśl uszlachetniła i wyrzeźbiła z niej typ nadpospolite wznioślejszy. —

Z południa szmer w korytarzach zwiastował odwiedziny zapowiedziane księżnej, która była protektorką stowarzyszenia, prezesa, który główne w niem zajmował stanowisko i innych członków do komitetu należących. Przełożona siostr i doktor towarzyszyli oglądającym.

Wszystko się naturalnie znalazło w jak najprzekładniejszym porządku — a pochwały sypały się z ust księżnej i prezesa.

Więcej dla formy niż z potrzeby obchodzono sale. Łóżko. na którym leżał wczoraj przywieziony chory. znajdowało się nad samą drogą, którą do następnej sali przechodzić było potrzeba. Prezes szedł obok księżnej dosyć obojętnym wzrokiem rzucając po łóżkach... Jednakże zdala już i księżną i jego musiała zastanowić piękna twarz nieznanego człowieka...

Ktoby był pilnie śledził twarz prezesa, dostrzegłby na niej naprzód wyraz zdziwienia, potem pomieszania, niepewności, przestachu i niepokoju...

Gdy przyszli do łóża. prezes stanął i począł się wpatrywać bacznie w chorego...

— Cóż to za — pacjent? kto to taki? zapytał doktor.

— Nie wiem kto — zdaje się być ubogi jakiś stary rzemieślnik... odparł doktor.

— Jakto? państwo przyjęliście do szpitala, nie wiedząc nazwiska? spytał prezes...

— Przywieziono nam go ze wsi — rzekł spokojnie ordynariusz — był w stanie takim. że się z nim rozmówić nie podobna...

— Ależ przecie? miał papiery?

W tłumoku nie było żadnych...

— Szczególna rzecz — zawołał prezes, trochę kwaśno — zdaje mi się, że przepisy szpitala wymagają koniecznie legitymacji...

— Pojmuję pan. rzekł prezes nieco obrażony, iż ja tego nie wymagam — ale formy nie darmo są postanowione...

— I zachowują się, gdy można — rzekł doktor spokojnie, ale przy chorym nie ma śladów, kto jest; odwiózł go miłosierny człowiek nie znając... a dotąd przytomności nie odzyskał...

— Zkądże go przywieziono?

— Z gospody w Chrzanem...

Prezes głową pokiwał, ale stojąc przy łóżku, u którego się też całe towarzystwo zatrzymało, nie spuszczał oka z chorego... Stary spał, oddychając ciężko... Czoło jego zmarszczone, wpadłe oczy i usta

zaciśnięte mechanicznie, nosiły na sobie wyraz długiego cierpienia i nędzy... Siostra Hilarja opowiadała właśnie księżnie pani, jak go wczoraj przywieziono, i że prawdopodobnie część choroby pochodziła z głodu. Prezes tymczasem chciwie, pilno, niespokojnie rozpatrywał fizjognomię chorego. Po długim tym przestanku u łóżka towarzystwo całe posunęło się dalej.. obeszło resztę sal i pochwaliwszy wzorowy porządek miało opuścić gmach, gdy prezes pożegnawszy księżnę, pod pozorem urzędowego zajęcia, zawrócił się nazad do szpitala.

We drzwiach stał jeszcze doktor.

— Szanowny konsyliarzu, odezwał się do niego, zatrzymałem się, aby cię przeprosić za uczynioną uwagę przy numerze 136. — Musiałem z obowiązku to dopełnić... a teraz uczyni mi tę łaskę i pozwól mi obejrzeć rzeczy, jakie były przy nim, gdyż twarz chorego nie jest mi nieznaną. Cośbym więcej o nim wiedzieć pragnął.

— To już do mnie nie należy, odparł kłaniając się grzecznie, lecz zimno doktor—i służyć panu prezesowi nie mogę... Ekonom szpitala będzie mu użyteczniejszym...

To mówiąc wskazał na stojącego na boku z kłaczami jegomości. Ekonom, który miał może powody wysługiwania się nadzorowi, pospieszył na rozkazy prezesa i z nim razem udał się dostojny pan... do izby gdzie pod odpowiednimi numerami złożone były rzeczy chorych, które wchodząc do szpitala z sobą przynieśli.

Pokój ten z pułkami pełnemi rupieci i łachmanów, porządnie ponumerowanych, smutny przedstawiał

widok... Prawie wszystkie te zawiniątka wyglądały brudno i nędzuie... Numer 136 leżał właśnie na skraju. Prezes ciekawie zbliżył się do tłumoczka, który mu ekonom otworzył. Odzież chorego była uboga, ale widocznie z innego kraju pochodząca. Zużycie jej nie starło śladów wyrobu zagranicznego. Sprawiona w lepszych może warunkach, musiała być niegdyś porządna. Tłumoczek zawierał podartą bieliznę, troszkę mniej zużytych kilka łaclmanów i parę książek... Na te rzucił się prezes ze szczególną ciekawością... Jedna z nich zawierała po włosku Dantego komedję, druga była odwieczną książką nabożną polską — złotym ołtarzykiem. Podpisu na nich nie było żadnego... Zamyślowy oddał je nadzorcy i prosił go, aby jeszcze raz mógł chorego oglądać.

Poszli więc do sali.

Prezes zbliżył się na palcach do łóża... lecz znać trafił na rozbudzającego się — bo chory oczy otworzył i już ich nie zamknął. Wlepił je z dziwną zapamiętałością w prezesa. Poruszył się potem na łóżku niespokojny... zakaszał, a widząc wzrok wymierzony na siebie, ruchem gwałtownym w przeciwną stronę się odwrócił.—Prezes blady i jakby przelekły ujął za rękę ekonomia.

— Kochany panie, jakże się pan nazywa? rzekł cicho odprowadziwszy go do korytarza z miną poważną i zakłopotaną.

— Ecker, proszę Jaśnie wielmożnego prezesa.

— A tak, przepraszam... Kochany panie Ecker, dodał prezes — mam dwa słowa do niego względem tego chorego. Twarz jego jest mi znajoma — człowiek podejrzany, bardzo podejrzany, o występki wielkie. Szpi-

tał mógłby być w kłopotcie z powodu przetrzymywania takiego indywiduum.

Ecker pobladł.

— Otóż z tego powodu—ale niech to zostanie między nami, pan będziesz łaskaw — mówił dalej głosem trochę drżącym—chorego tego kazać przenieść do osobnej celki. Proszę tylko nie mówić, żem ja to dysponował. Pan zuajdziesz powody.

— A tak, jasnie panie, powody się znajdują — rzekł powolny ekonom.

— Rozumiesz mnie pan—przenieść go do celki osobnej. nikogo oprócz siostry i doktora tam nie wpuszczać... a gdyby chory wyzdrowiał. nie uwalniać go bez mojej wiadomości i zgodzenia się... rozumie pan?

— Ale rozumiem, jasnie panie—pospieszył ekonom —już proszę na mnie się spuścić. Ja go zamknę na klucz, a nie wyjdzie bez mojej wiedzy. Za to odpowiadam.

— Wszystko to pan spełnij tak... widzisz... żebym ja w to wnięszany nie był. — Jest to interes szpitala —rozumiesz pan—mogłoby być źle—bardzo źle... gdyby inaczej się stało. Przecież i panna idzie o to, aby szpitala nie narażać.

Ekonom, który rocznie do tysiąca talarów wyciągał z zarządu instytutu, przeląkł się niezmiernie, zaklął na wszystko, że będzie posłusznym... i gdyby mu w tej chwili żywego pochować kazano, byłby to niezawodnie spełnił.

Prezes skinął nań jeszcze zalecając milczenie, począł rozpytywać o inne szczegóły i w końcu szpital opuścił... błądy, pomięszany i widocznie niespokojny.

Ledwie się drzwi za nim zamknęły, ekonom po-
Z życia awanturnika. T. I.

biegł do sali, cały przejęty ważnością powierzanej sobie misji, od której los szpitala miał zależeć.

Widział już w tym chorym ważnego przestępcę stanu, ukrywającego się przed pomstą prawa, — widział spisek wkradający się pod wełniane kołdry łóżek i podkopujący to spokojne siedlisko nędzy, na którym on tył i spał się tak wygodnie. Widok tej bladej twarzy przerażał, spojrzawszy na numer 136 znalazł go pełnym najczarniejszych zbrodni śladów. Brwi, zmarszczki na czole, nsta wpadłe, wszystko niebezpiecznego oznaczało zdrajcę, który spokój publiczny miał zamieszać, a, co najgorzej, chleba go pozbawić.

Przeniesć chorego nie mógł jednak proprio motu bez siostry Hilarji. Ta siedziała właśnie nieopodal do łóżka.

Ekonom skinął na nią i wyprosił ją do apteczki.

— To musi być mocno chory człowiek! — rzekł wskazując palcem na salę.

— Który?

— A ten 136?

— W istocie, bardzo biedny... stary...

— Jemu tu w tej sali, wśród tych naszych chorych nie bardzo dobrze być musi...

Siostra spojrzała zdziwiona, troskliwość bowiem nie była w obyczajach ekonoma. —

— Ja myślę — dodał, że teraz, gdy chorych na osobne pokoje nie ma, toby mu można śmiało dać jeden...

— Ależ od nich się płaci...

— A kiedy próżne stoją. —

— Przepisy nie pozwalają.

— Mnie bo — mnie — zadławił się ekonom, mnie tego

nieboraka żal — dodał — od wczoraj, gdy go przyniesli myślę o tem...

Siostra spojrzała nań; zrobiła minkę pobożną.

Bardzo, rzekł wzdychając — nieboszczyka ojca mi przypomina...

Wszystko się tym sposobem tłumaczyło. Siostra dla tak pocziwego uczucia miała poszanowanie.

— Już gdyby mi i zapłacić przyszło — dodał niespokojnie ekonom — proszę go przenieść pod Nr. 15. Drzwi nie daleko odemnie, będę mógł naglądać...

Rozczulona siostra Hilarja ścisnęła go za rękę.

— A! kiedy tak, zawołała — to dobrze. bardzo dobrze! Spytały tylko doktora, czy go teraz ruszyć pozwoli.

— E! i doktora pytać nie trzeba — dorzucił ekonom żywo, siostra dobrodziejka, lepiej się znasz od niego... Ja stróżów dam... a tam mu przecie będzie daleko lepiej...

Tak się tedy stało... Lekarz który nadszedł przestrzegł tylko, że lepiejby go przenieść wraz z materacem... aby spoczynku tak potrzebnego nie przerywać.

W czasie tych przenosin chory niespokojnie oczy otworzył i oburącz za piersi się pochwycił, jak gdyby chciał coś obronić i zakryć..

Ekonom dostrzegł ten ruch... a siostra Hilarja mu go wytłumaczyła...

— Chory, rzekła, ma na piersiach worek skórzany, pewnie z papierami. Jużesmy mu go wczoraj chciały zdjąć, ale nie dopuścił i choć nie bardzo był przytomny bronił go, nie dając zabrać sobie. Musiałyśmy zostawić.

Ekonom dobrze to sobie zapamiętał.

Z tego, co mu prezes powierzył, wnosić było można, iż się tam w tym worku właśnie kryły jakieś ważne tajemnice. Postanowił więc nocą podkraść się pod pozorem czujności nad starcem i odjąć mu po cichu te papiery tak, aby tego nie poczuł. Wprzód jednak chciał jeszcze pospieszyć z doniesieniem prezesowi o ważnem swem odkryciu, aby od niego mieć upoważnienie do konfiskaty. Obiecywał sobie z tego wielkie w przyszłości zachowanie u dostojnego protektora...

Doktorowa nazajutrz po wieczorze u Toli, zamyślała listem prosić profesora z jego gościem do siebie, przyszło jej jednak na myśl zaraz, że przez posły wilk nie tyje, że na pismo łatwo się pismem odpowiada i odmówić może. Zrała więc po mszy, z książką od nabożeństwa w ręku, mimo że ją wschody zawsze kosztowały wiele znużenia, odpoczywając dostała się na drugie piętro i zadzwoniła tak gwałtownie, że profesor, który właśnie miał brać na siebie surdut, wybiegł z jednym rękawem uciągniętym, a drugim narzuconym. Postrzegłszy we drzwiach doktorową zmieszal się bardzo a ona nic a nic — rada była że się dostała na górę i szukała już gdzie usiąść.

— Gdzie twój pokój profesorze, bo muszę spocząć.

— A! na Boga miłego... usiąść! to chyba do biblioteki krzeselko przyniosą... bo u mnie w pokoju nie mogę przyjąć.

— Dla czego...

— W nieporządku wielkim...

To mówiąc stary Kudelka pobiegł po krzesło, stłukł miednicę, rozlał wodę, i ręcznikiem starłszy zla-

ne siedzenie przyniósł je do biblioteki. której drzwi otworzył.

Doktorowa weszła. obejrzała niepewne krzesło i usiadła ostrożnie—musiała wschody wydychać.

Poglądała tymczasem po półkach nśmiechając się. Biblioteka profesora nie miała tego pozoru wytwornego, jaki po domach pańskich zbiory ksiąg miewają. wyglądała nędznie. choć zawierała skarby. Na oprawę jednostajną i bogatą tych rzadkości nie stało profesorowi funduszków.—Pargaminowe więc okładki, świnia skóra. pąsowy safian. szara bibuła, kolorowe papierki. arystokracja i proletarjat okładek mieszały się z sobą, nadając zbiorowi arlekińską fizjogumję pstrą i łataną.

— Cóżes ty to życia i ofiar tu utopił! zawołała.

Profesor złożył ręce pobożnie.

— A! pani, to mi się tyłą godzinami szczęścia wypłaciło! zawołał.

— Ale ja nie do książek tylko do ciebie tu przyszłam i to nie z prośbą, ale z rozkazem... musisz być u mnie na obiedzie... i to—notabene nie sam... z Murmińskim.

Profesor potrząsł głową.

— To nie może być—on nie pójdzie.

— Potrzeba żeby przyszedł i musi przyjść — stanowczo rzekła doktorowa—idź po niego. nie mów mu, że ja tu jestem, sprowadź mi go koniecznie, biorę na siebie, że go do tego skłonię.

Kudełka chociaż się nieco zawahał... czy bezpiecznie było doktorową samą jedną z książkami zostawiać (małe Elzewiry wchodzą tak zgrabnie do kieszeni) wysunął się jednak posłuszny...

W pół kwadransa potem. usłyszała oczekującą pani chód powolny po wschodach. weszły dwie osoby do przedpokoju — Murmiński więc był... reszta od niej zawisła. Znała go trochę pocziwa pani, a nfała w to, że prosto od serca mówiąc do serca, będzie zrozumianą...

Gdy jednak przez drzwi otwarte. Teodor zobaczył kobietę. której bytności się tu nie domyslał, chciał się cofnąć, profesor zatrzymał go za rękę — doktorowa wstała i podeszła.

— Nie wiem. odezwała się, czy pan mnie sobie z dawniejszych czasów przypominasz... jestem żoną doktora X... wdową już dziś, mój dobry panie... i samotnicą. Wiem, żeś wiele przecierpiał, że tu jesteś sam... a profesor cię nie bardzo ubawi... przyszedł was. z dobrego, wierz mi, serca, prosić do siebie...

Todzio mierzył ją oczyma dosyć niegrzecznie.

— Pani dobrodziejko — rzekł powoli — rzadka to rzecz, żeby człowieka w biedzie kto zapraszał do swego domu, powinienbym to ocenić... a taki jestem zepsuty, że podejrzewam szanowną panią o prostą ciekawość i chęć zabawienia się połamanym polszynelem... Czy już sobie pani co innego nie znajdzie? Ja jestem wcale nie zabawny.

— Ale mój kochany panie Teodorze, przerwała jejność śmiało, dla czego przypuszczasz koniecznie, że się tobą chcą bawić, a nie chcesz zrozumieć, że może pragną rozerwać ciebie. — I ja sądzę że nie jesteś zabawny, lecz poprostu mi cię żal.

Murmiński się zmarszczył i rozśmiał.

— Widzi pani dobrodziejka. rzekł — są ludzie co

się skarżą aby litość obudzić i lubią by się nad nimi nżałano — ja — nie.

— Myślałam, że cię nieszczęścia nanczyły łagodności i wyrozumienia — rzekła doktorowa.

— Nieszczęścia nic nie uczą... oduczają tylko od wiary i nadziei — odparł Teodor. Niech mi pani pozwoli podziękować sobie i odmówić. — Jestem już od salonu odwykły, od towarzystwa, od ludzi.

— Będziemy sami, ja, profesor i pan... nie drożże się. przyjdź.

Murmiński głową potrząsając, widocznie się wzdrygał...

— Na co to się pani zda...

— Żeby waćpana ze zdziczałości i zdziwaczenia wyprowadzić — dodała.

— Mnie to przyjdzie ciężko — odezwał się Murmiński.

— Powinieneś się zwyciężyć — rzekła jejmość — daj mi słowo, że będziesz.

Murmiński popatrzał na nią długo — wahał się — przykrem mu było to zaproszenie. Doktorowa nagliła.

— Przyjdziesz... proszę.

— Masz pani gusta dziwaczne, rzekł — myślę, że się utrapienie nudzić musisz, kiedy taką niesmaczną jak ja potrawę chcesz mieć u stołu!

Nikogo nie będzie.

— Nikogo nieprosiłam na obiad oprócz was...

— Przyjdziemy — przerwał profesor.

Murmiński się skłonił.

— Byłoby śmiesznem gdybym odmawiał — rzekł ruszając ramionami.

Otrzymaawszy tę pożądaną obietnicę i pożegnawszy obu, doktorowa rada z siebie, zesła ze wschodów spiesząc do domu. — Murmiński stał w bibliotece zamysłony.

— Pan profesor chcesz mnie już, widzę, puścić w obieg jak starego kufona, który w kieszeni zawadza.

— Daję ci słowo, że to nie moja sprawa. Todzio był chmurny i kwaśny... nie odpowiedział na to, milczący powlókł się na górę. — Od czasu uratowania swego mało się on zmienił powierzchownie, sprawiona przez profesora odzież czysta i porządna, nie była wykwiną, dawny elegant. gdyby nie jego mina i ruchy pańskie. wcaleby się w niej biednie wydawał. Odżyła nieco wyżółkła twarz i zagasłe oko... ale nie był to ów Todzio wesoły, zręczny, śmiały, dowcipny, któremu postawy i miny i języka cała zazdrościła młodzież. — Dawniej znajomym posępne to oblicze, jakby po chorobie ciężkiej zbolełe — ledwie przypomniećby mogło pięknego Todzia. Rysy zostały szlachetne, lecz łatwo się było domysleć, ile przez nie przepłynęło fal ostrych i przesunęło się cierni.

Gdy godzina obiadowa nadeszła, Todzio spuścił się ze wschodów powoli, ubrany jak był rano, bez żadnego starania. ubogo. z głową spuszczoną, z miną znudzoną.

— Chodźmy na tę nieznosną pańszczyznę, rzekł do profesora — wolałbym przez okno patrzeć na moje wróble, niż tam się nudzić zatęchłym salonem starej, pocziwej jejmości. — Ale bo, oryginalną jest, do czego są prałaci i kanonicy sześćdziesiątletni. jeśli nie do zjadania takich obiadów i zabawiania gospodyń.

Gderał, ale poszli.

Już samo przechodzenie ulicą było dla Murmińskiego przykrem, obndzał zbytnią ciekawość. — Ludzie co go dawniej znali, stawali i patrzyli nań niedyskretnie, opowiadając sobie plotki o nim... Niektórzy zaczępili profesora, aby się jego towarzyszewi bliżej przypatrzeć. — Murmiński wymykał się przodem aby znajomości i rozmów uniknąć.

Nareszcie weszli w bramę i do pokojów ukwieconych pocziwej doktorowej. która ich przyjęła serdecznem podziękowaniem. Murmiński był dziwnie milczący. — Nie można go było i u stołu rozgadać, jakby roztargniony, zapominał się, myślał o czem innem, zdawało się, że postanowił być kwaśnym, aby go drugi raz nie proszono. Doktorowa mówiła żywo. wiele, zaczępiała o różne przedmioty; pozostał tak ostygłym jak przyszedł. Co najwięcej — pół słowem krótkiem zbył odpowiedź. — Roztargnieniu temu winien był może, iż dozwolił gospodyni dolewać sobie wina bez miary, i pił go więcej, niż wszyscy. Lecz wino to nie wywierało nań najmniejszego skutku... Patrzył osowiałemi oczyma, po kwiatach, po suficie, na obraz, duszą i sercem był gdzieś indziej.

Po obiedzie podano kawę. Im bardziej zbliżała się chwila stanowcza, tem doktorowa widocznie była niespokojniejszą. — żałowała już może, że do tej sceny rozczarowania i bolesnego dramatu pomoc swą ofiarowała. — Lecz spotkanie było już nieuniknione...

Murmiński stał nad rozkwitłemi liliami wpatrując się w ich świeże kielichy, których przepyszne tkaniny król Salomon podziwiał — gdy w pierwszym pokoju dał się słyszeć chód i powiała suknia kobieca...

Zdaje się, że po latach wielu, poznał czy przeczuł tę kobietę — gdyż nagle podniósł głowę i zdretniał nieruchomy. — Potem gniewnym wzrokiem rzucił na doktorową i... nie ruszył się krokiem...

Tola wchodziła błada, milcząca, usiłując próżno być obojętną.

— Przepraszam — rzekła głosem drżącym — przepraszam moją panią, że tak przebojem tu wchodzę — chciałam się pożegnać.

Oczy jej spotkały się w tej chwili z oczyma Murmińskiego, który wejrzenie wytrzymał, żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. — Miał czas w mrugnieniu oka przygotować się do tego bolesnego spotkania... (Gniew na doktorową, która go wystawiła na taką próbę. całą jego nędzę i upadek na scenę wyciągając — zagłuszył na chwilę inne uczucie.

Tola postrzegłszy go, minęła profesora i wprost podeszła ku niemu...

— Pan Teodor! zawołała wyciągając doń rękę — o mój Boże! jakżeś się odmienił.

— Tak, odparł spuszczaając oczy — bardzo — bardzo — a pani nic a nic.

W głowie jego nie było innego wyrazu nad przykre upokorzenie — oczyma szukał kapelusza...

Stali tak naprzeciw siebie, Tola patrzyła nań przestraszona tym człowieka upadkiem...

— Prawda pani — odezwał się usiłując jakby oprzytomnieć i odzyskać odwagę, że losy dziwne z ludzi robią — potwory... Aż mi wstyd pokazać przed panią ten łachmau, który ze mnie został... lecz... gdy ścierką bielutką długo i podłogi i wschody szorują... brudny z niej płacheć zostaje. Tak i zemną...

Zaczął się niby śmiać...

— Ja tego nie biorę tak tragicznie — dodał żywo — najpospolitsza to rzecz w świecie, a nawet — doprawdy śmieszna...

Tola nie mogła jeszcze wyrzec słowa... patrzała osłupiona... Pod jej wzrokiem wił się biedny Murmiński, nie jego litość czując ale upokorzenie tem miłosierdziem. wolałby może gniew lub obojętność...

— Wie pani, że to rzecz szczególna, dorzucił gorączkowo — rzecz szczególna. jak nierówno czas działa nawet na ludzi... pani jesteś jak byłaś wczoraj... niepożytym djamentem pełnym blasku..., a mnie afrykańskie i indyjskie żary, gorączki, głody, włóczęgi starły na miazgę... Jak to musi być śmiesznie zobaczyć taką metamorfozę... i ani się nawet dziwię, ani gniewam na szanowną gospodynię, że taki spektakl chciała dla pani mrządzić.

— Panie Teodorze — odezwała się wzruszona Tola — jaki pan Nielitościwy... Nikt z nas nie myślał... przypadek.

— Tak przypadek — odezwał się Murmiński, gra niezmiernie ważną rolę w życiu — życie się składa ze samych przypadków...

Tola coraz bardziej była zmieszana, spojrzała nań, chcąc to szyderstwo rozbroić wejrzeniem łagodnem — Teodora to jeszcze bardziej zburzyło...

Szczęściem doktorowa zajęta Kndelką nie dosłyszała wymówki.

Tola co prędzej schwyciła krzesło — Murmiński został jak wkuły przy koszu z kwiatami.

Przykre milczenie na chwilę — panowało w pokoju. — Teodor z pod brwi patrzył na bladą i drżącą

kobietę, która już nań spojrzeć nie śmiała... była zmieszana i smutna.

Podniosła wreszcie oczy na Teodora.

— Mówiłeś pan o zmianach. ja największą nie w twarzy pańskiej znajduję. odezwała się łagodnie — ale w zapatrywaniu się na świat... Z kilku słów już go się łatwo domysleć. — byłeś pan dawniej pobłażającym, łagodnym. a dziś.

— Człowiek się zmienia. rzekł Teodor.

Doktorowa pod pozorem kwiatów odprowadziła Kudelkę rozmawiając z nim głośno do pierwszego pokoju. tak że Teodor z Tolą pozostali sami. Murmiński oczyma szukał kapelusza...

Tola chciała rozmowę sprowadzić na inne, objętniejsze pole...

— Zkąd pan tu do nas przybywasz?... zapytała.

— Byłem w Afryce, rzekł Teodor. służyłem w legii zagranicznej, trochę wprzód włożyłem się po Meksyku i Brazylii — byłem nawet w Indjach... Zdawałoby się, że przecie gdzieś zginać byłem powinien — nie...

— Zdziwaczałeś pan między dzikimi... dodała Tola. spoglądając nieśmiało.

— Powróciłem. proszę pani, do stanu natury. Rousseau miał słuszność, cywilizacja ta sztuczna psuje nas... stan natury to przynajmniej stan prawdy... Ludzie nie grając komedji zabijają się po prostu. pięką, jedzą — mówią co myślą, a że myślą nie wiele, więc i nie paplą do zbytku... Śpią więcej i są bardzo zdrowi.

— Tego po panu nie widać! rozśmiała się Tola.

— Bo człowiek jest *animal d'habitude* odparł Teodor grając ciągle, gorączkowo, chłód i obojętność szyderską. — Wychowany sztucznie i do sztucznego życia, do dobrodziejstw nowego stanu nie umiałem nawyknąć.

— Jest więc nadzieja, że powrócisz do pierwszej swej natury — odpowiedziała Tola łagodnie, — z serca pałam tego życzyć...

— Na nieszczęście, rozśmiał się Murmiński — jestem teraz zwichnięty, ani dzikim porządnym być nie umiem, ani cywilizowanym jak należy, nie potrafię... Można mnie w istocie pokazywać za biletami.

Jakie to było bolesne, a sarkazm tego nieszczęśliwego brzmiał tak gorzko, że Toli na łzy się prawie zbierało...

Przyznam się pani — dodał spiesźnie, że w tym stanie przed całym światem bym się nie wstydził wystąpić — ale przed panią... to już ostatni cios, jaki mógł mnie spotkać... Byłbym został w jej przypomnieniach młodości jakimś zabawnym *blanc bec'iem*, a teraz... z tą fizjognomią tragi-komiczną jakiegoś Żyl-Blasa... a! to okropnie...

Tola podniosła oczy...

— Panie Teodorze, odezwała się — miejże litość nademną, dosyć tych sarkazmów, mówmy serjo... Byliśmy choć chwilę w życiu dosyć dobrymi przyjaciółmi...

— Ale ja wówczas byłem jeszcze człowiekiem, i co umiał chodzić po woskowych posadzkach, a dziś, pan — a dziś — po błocie mi najwłaściwiej... Jakżebyś pani mogła się nawet przyznać do znajomości i — tego co

pani raczysz nazywać przyjaźnią — dla takiej jak ja istoty...

— Bardzo pan surowo sądzisz o mnie...

— A! nie surowo — zawołał Teodor, ale bezwzględnie... Pani jesteś oranżeryjną rośliną drogą i pieszczoną, co burzy nie znała nigdy... no — a ja wyrwanym chwastem, który rósł przypadkiem gdzieś blisko, dopóki ogrodnik nie przyszedł i porządku nie zrobił.

— Mówić nawet z panem niepodobna! wstając i czynając się przechadzać poczęła Tola, której zniecierpliwienie coraz się stawało widoczniejszym.— Stała się spoglądając nań śmiało.

— Sądziłam, że pana znajdę chłodniejszym i naturalniejszym, panie Teodorze... pan się tym sarkazmem drapujesz przedemną.

Zaczerwienił się Murmiński.

— Masz pani słuszność, muszę. bo bez tej draperji gorzejbym jeszcze wyglądał—nie chciej mnie pani widzieć bez niej. Ran i blizu musiałabyś się przestraszyć. a to dla delikatnych nerwów kobiecych niezdrowo. Tak pani — dodał serjo i smutnie — niegodzi się wielkiego bólu, choćby nawet win wielkich używać za zabawkę i karmidło ciekawości — niegodzi! a! niegodzi — wybuchnął gwałtownie — chciałaś pani widzieć poniżenie moje...

— Panie Teodorze — zawołała z równą siłą głosu Tola—pana nieszczęście zepsuło. Byłeś między złymi ludźmi i zaraziłeś się ich chorobą. — Wiem bardzo dobrze, iż się nieszczęściem bawić nie godzi, ale też zabawki. ani nasycenia ciekawości nie szukałam. Zoba-

czywszy pana, chciałam mu wyciągnąć dłoń pełną współczucia.

W czasie gdy to mówiła Tola, Teodor wynalazł był kapelusz i pochwycił go z ruchem, w którym gniew i rozpacz się malowały.

— Dziękuję pani—zawołał—lecz czyż i tego nie chcesz pani przypuścić, że są położenia, w których miłosierdzie boli jak—obelga...

— Pan sam stawiasz się w tem położeniu!

— Okolicznośei mnie rzuciły w nie — odparł zimno Murmiński. — Za niespodziane szczęście, które mi się nie należało od losu, szczęście kradzione z miłosiernej dłoni kobiety, która sobie ubogie dziecko wychowała... ot tak!! musiała przyjść zemsta... zadość uczynienie... Owa ślepa fortuna otworzyła oczy, zobaczyła omyłkę—i... osmagała mnie za skradzione łakocie.

To mówiąc Teodor drżący cały począł się żegnąć. Tola nie chciała go pnieić w tym stanie rozbożenia i rozdrażnienia.

— Uspokój się pan, rzekła. czekaj.

— Jestem zupełnie spokojny, zawołał Teodor — a doprawdy nie mogę dłużej zostać ani chwili. Wypędź mnie pani raczej--nadto się męczę.

Litościwym wzrokiem spojrzała nań w milczeniu i podała mu rękę nieśmiało.

Teodor się cofnął.

— A! nie! nie pani! ani dotknąć ręką, ani bym nawet nstami nie śmiał teraz tknąć jej dłoni. Sprofanowałoby cię dotknięcie biednego włóczegi... Tyś powinna zostać tu gwiazdą czystą spokojną, na niebiosach, do której tylko wzrok sięga... Bądź pani szczęśliwą!!

Głos mu zadrzał.

— Nie sądź pani tak źle o mnie — błagam — jam tę litosć dla siebie umiał ocenić — ale nadżyzwać jej nie śmiem i nie ehczę — niech los to pani nagrodzi. to była złota—wielka—anielska, ostatnia jałmużna!!

Schylił się i wybiegł. Tola postąpiła kilka kroków za nim. ale wstrzymać go było nie podobna.—Nie pożegnawszy się nawet z gospodynią. nie zważając na profesora. który go wołał szukając kapelusza. Teodor wybiegł, pędem stoczył się ze wsehodów i pogonił ulicą, tak, że Kndelka wyszedłszy w chwile potem, już go nawet oczyma szukał napróžno.

Po wyjściu jego, Tola zsunęła się na kanapę, przy której stała — wzruszenie nie dozwoliło jej zrazu ani się odezwać do nadbiegającej Teresy i doktorowej, ani słyszeć, co do niej mówiono. Oczy miała pełne łez i piersi pełne tłumionego łkania...

— Cóż się z tym człowiekiem stało! zawołała po chwili łamiąc ręce—a! ei—eo z istoty wybranej, szczęśliwej—prześladowaniem i niesprawiedliwością śmieli taką rozpacz wywołać, tak zgnieść i złamać ją — srodze odpowiedzą przed sprawiedliwym sędzią...

— Moja droga! uspokójże się —przerwała gospodyni—doprawdy gdybym była mogła przewidzieć tę scenę... którą z daleka odgadywałem tylko — nigdy. nigdybym się była nie podjęła ułatwić wam spotkania...

Tola podniosła się z kanapy i ścisnęła rękę doktorowej.

— Przebacz — rzekła — to było nie uniknione — nic się złego nie stało...

Przeszła się po pokoju..

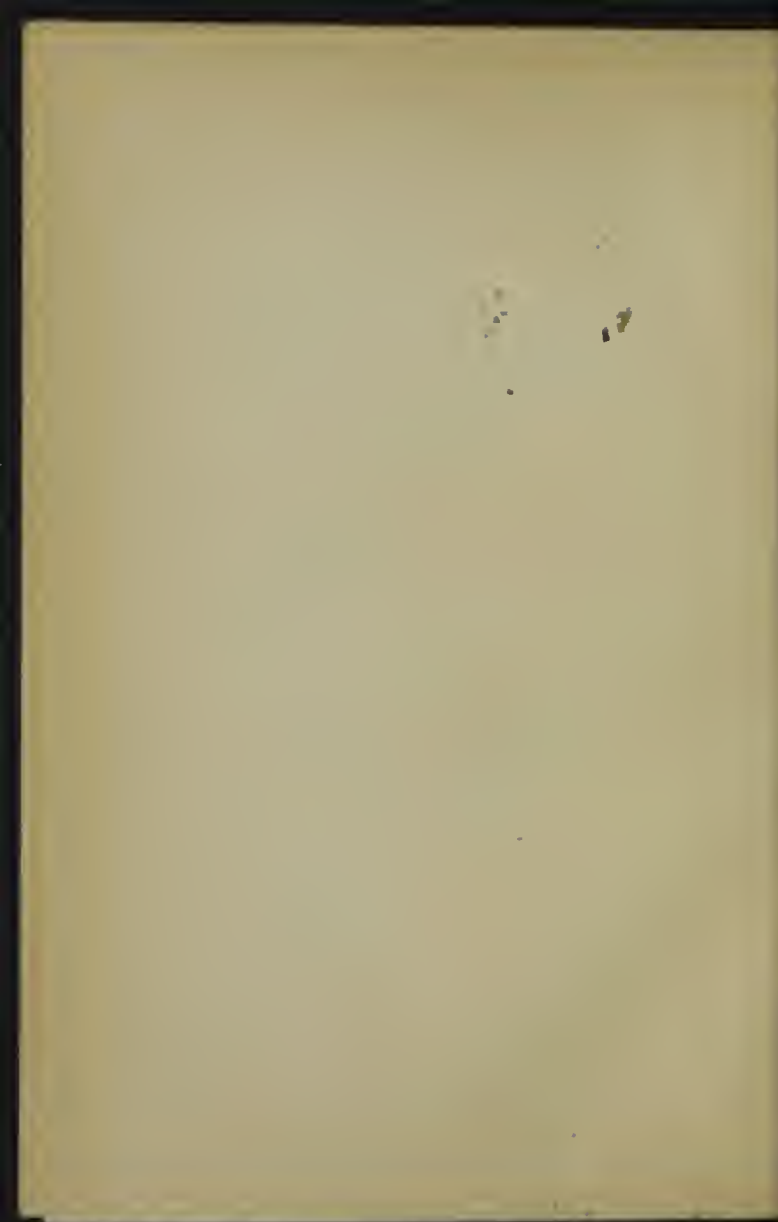
— Wiesz Tereniu, dodała — nie — ja już nie pojedę nad Ren — nie mogę — kilka może dni tutaj — a potem — na wieś!

W domu mi będzie lepiej, nie chcę oczów ludzkich... Ten widok biednego Teodora zburzył mnie — jak widmo mieć go będę przed oczyma zawsze... z tego potrzeba ochłouąć w samotności...

Uścisnęła gospodynię — i wysunęła się milcząca.

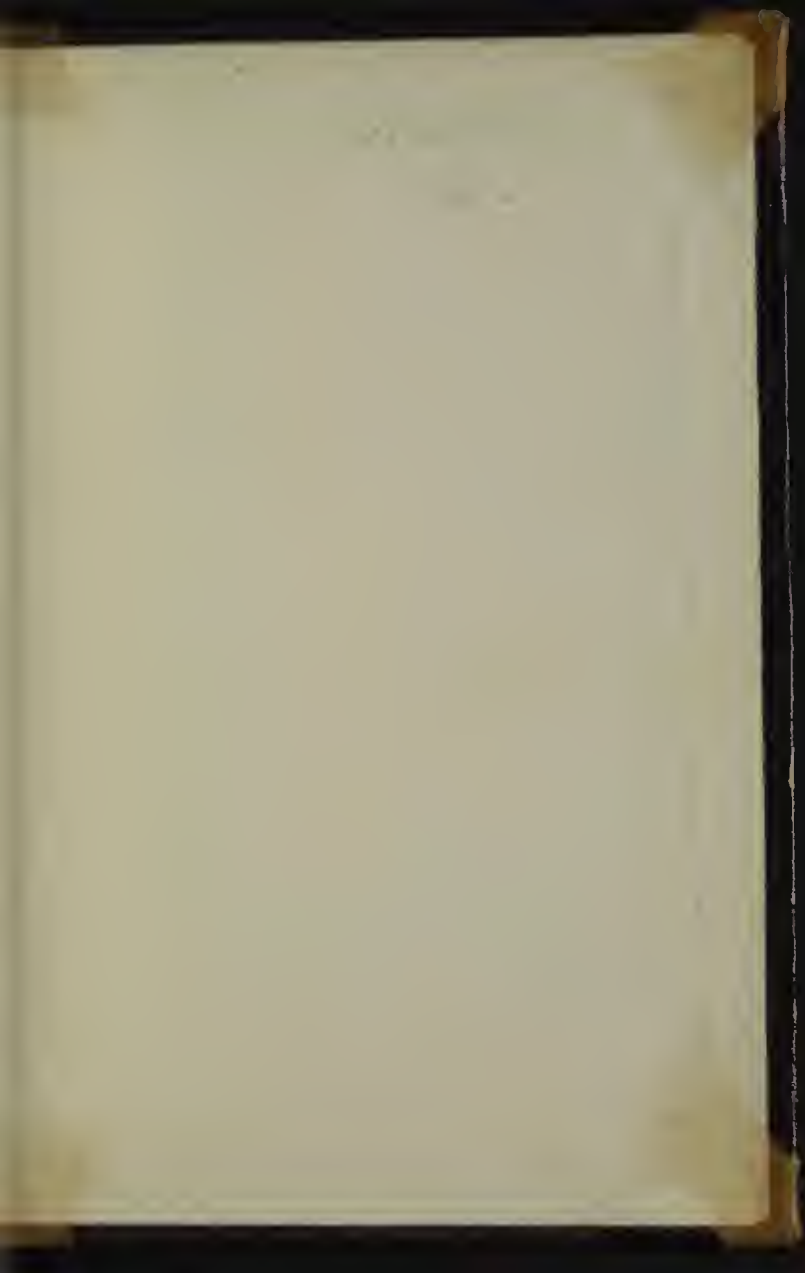
KONIEC TOMU PIERWSZEGO











Biblioteka Raczyńskich

JIK 1670



JIK1670